Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 7. Listopada 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 45.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

XIX.

Wobec króla.

Na tej grzędzie dziejowej, który się stanem rycerskim nazywa (mówimy o Polsce), nie sposób było, ażeby wystrzelił kwiat piękniejszy, wspanialszy, wonniejszy, niż Jan Sobieski.

Bohaterowie, są to przedstawiciele swego czasu i swoich ludzi.

Jak Cezar, jak Napoleon I, tak niezawodnie Jan III jest »swego czasu i swoich ludzi» przedstawicielem. Nie powiadamy o przedstawicielstwie narodu — narody przedstawicieli własnych ponoć jeszcze nie miały i bodaj, czy mieć ich kiedy będą. Różnorodne interesa trudno ażeby się skupić dały w osobistości pojedyńczej. Pomijamy jednak tę kwestją, a twierdzimy, że Sobieski był bohaterem na wskróś szlacheckim.

Jako taki, jest to postać prześliczna — prześliczna wraz z wadami, jakie posiadał, z błędami, jakich się dopuścił.

Wady jego i błędy płyną wprost z gruntu, który go wydał. Bez nich, albo byłby osobliwością pojąć się niedającą, albo by go nie było wcale. Polska szlachecka innego bohatera wydać nie mogła. On ją streścił w osobistości swojej, pięknej postawą, odważnej w boju, nieobliczającej następstw, pewnej siebie, przystępnej, popularnej, fantastycznej, porywczej, miłującej piękno, nierozumiejącej dobra, zapatrującej się przez pryzmat widoków osobistych na pożytek i będącej pod władzą połowicy cudzoziemki. Z rodu, z zagrody pan, z pana król — jest ekspresją najczystszą ducha szlachetczyzny w szczeblowaniu onego na wyżyny społeczne.

Moment ów, w którym go przed czytelnikami stawiamy, najpiękniejszym był w życiu jego. Dosięgnął szczytu wielkości i ufał nieograniczenie gwiaździe przeznaczeń swoich. Na tronie nie dziwił się sam sobie: do tronu był wychowywany, jak każdy zresztą pan polski podówczas, uważający siebie od dzieciństwa do lat najpóźniejszych za członka rodziny królewskiej, oczekującego na kolej swoję. Wstąpił więc na tron i był na nim na miejscu swojem odrazu; niemniej przeto poczuwał się do pewnej względem braci szlachty wdzięczności, otwierał jej do siebie przystęp szeroko i skłaniał na żądania jej ucho.

Jegomość przeto nie doznał najmniejszej trudności w dostaniu się przed oblicze królewskie. Warta wprawdzie zatrzymała go u wnijścia i opowiedzieć się musiał dworzaninowi, który mu czekać zalecił, oddalił się i wnet powrócił z oznajmieniem, że król przy stole i prosi go, ażeby miejsce zajął.

— Przy królewskim stole?... — zapytał pan Maciej.

— Jużci...

— A... i owszem... Nie odmówię królowi jegomości, w nadziei, że król następnie nie odmówi mnie...

Udał się za dworzaninem, który poprzedzając go, wprowadził do sali obszernej, z długim pośrodku stołem, otoczonym ławami, zajętemi przez biesiadników. Na miejscu naczelnem siedział mąż okazały, ozdobiony wąsem sumiastym i wyrazem oblicza marsowym. Dworzanin cofnął się, poprowadziwszy pana Macieja do męża owego. Jegomość domyślił się, że stoi wobec króla; skłonił się w pas, czapkę mu ku kolanom wyciągnął i następującemi wygłosił powitanie słowy:

— Służby moje najniższe waszej królewskiej mości, panu memu miłościwemu...

— Witaj, mości Małuski... Dziękuję ci, żeś przyjął zaprosiny moje... Siadaj-że tam — tu na przeciwny koniec stołu ukazał — i prosić się nie dawaj, a przebaczaj za przekąskę obozową...

Pan Maciej udał się we wskazanym kierunku i zajął miejsce na szarym końcu, wszakże na widoku królewskim.

Przekąska za suty starczyć mogła obiad, pomimo, że była rybna. Szczupaki, karpie, liny, karasie następowały kolejno, okrywając z górą ogromne półmiski. Przeplatały je jarzyny i potrawy mączne, jak naprzykład łamańce z makiem i kasza na oleju. Król zajadał z apetytem i popijał z puhara pełnego, a powodząc oczami, odzywał się od czasu do czasu:

— A no, mości wojewodo (taki a taki)... nie marudź!... A no, mości kasztelanie (taki a taki)... nie ociągaj się...

Spojrzawszy na pana Macieja, przez stół cały zawołał:

— E, mości Małuski!... co to tam waść nabierasz na talerz, jakbyś czuł do ryby wstręt!... Popuść pasa i pozwól sobie!...

— Mości królu!... — odrzekł zaczepiony. — Śniadałem przed paru chwilami...

— Kij na kij wadzi... przekąska na śniadanie nie wadzi...

— Nie zawadziłaby... gdybym posiadał żołądek zapaśny...

— A może masz doprawdy do ryby wstręt!... Możeś kalwin, alboś się na Turka przechrzcił!...

— Gdybym był kalwin albo na Turka przechrzczony, tobym właśnie jadł co wlezie, ażeby objeść takiego katolika dobrego, jakim jesteś wasza królewska mość...

Zdaje się, że Jan III chciał szlachcica na fundusz wziąć i kosztem jego przy śniadaniu się zabawić. Po ostatniej atoli odpowiedzi pana Macieja mruknął jeno pod nosem i odparł:

— Jedz-no waszmość, wnet bowiem apetyt tracę, gdy widzę, że kto przy stole moim grabkami w talerzu gmerze, a gęby z zacięciem należytem nie otwiera...

Pan Maciej głową kiwnął; król do kogo innego mowę zwrócił.

Przekąska ciągnęła się z godzinę. Wstawszy od stołu, po odmówieniu po łacinie modlitwy dziękczynnej przez kapelana królewskiego, na którego pan Maciej z ukosa nieco spoglądał, był to bowiem jezuita, Jan III udał się powoli do komnaty przyległej, dokąd mu towarzyszyło dostojników kilku, reszta zaś gości, gwarząc pomiędzy sobą, powoli opróżniała salę jadalną. Jegomość podszedł do okna i przy oknie stanął. Służba ze stołu zbierała. Panu Maciejowi wydało się, że zapomniany został. Niesłusznem jednakże było mniemanie to. Nie czekał długo na wezwanie królewskie i znalazł się znów wobec Jana III. W komnacie znajdowało się osób kilka, siedzących na dywanach, pozostałych po Turkach, którzy w listopadzie dopiero z Bracławia wykurzeni zostali.

— Cóż mi waszmość powiesz?... — zapytał król — a najprzód powiedz mi, zkąd przybywasz?

— Z futoru, miłościwy królu... z hrybeckich lasów.

— Z hrybeckich lasów... — powtórzył król. — Hrybeckie kopce... Czy to jedno do drugiego się stosuje?...

— Stosuje się, najjaśniejszy panie... Kopce stoją wzdłuż szlaku Kuczmańskiego...

— Gdzieście tę ordę przetrzepali...

— Nie ja, miłościwy panie... Jam trzepywał, gdym był młodszy... obecnie wyręczam się przez syna i zięcia, sam zaś dla nich o chleb dbam...

— Prawdziwie po szlachecku... Cóż to tam za pasiecznik taki?...

— Pasiecznik, mości królu...

— Przyszlij mi go waszmość, niech go pogłaskam, niech wiedzą, że zasługi ich znają się i cenią...

— Ba!... Gdybym wiedział, gdzie on się znajduje...

— Cóż? w świat poszedł?...

— Po żebrach zapewne... — odezwał się z obecnych jeden. — Pasiecznicy zazwyczaj latem roi pilnują, a zimą z torbami się włóczą...

Pan Maciej ramionami ruszył.

— No — odezwał się król — mniejsza o to. Jeżeliby się na wiosnę wrócił, powiedz mu, że *korol* pytał o niego... Tymczasem zaś wyłuszcz mi, co ciebie sprowadza?...

— Nie mógłbym — zaczął pan Maciej tonem prośby — z waszą królewską mością we cztery pogadać oczy?...

— Cóż? czy nam zdradę jaką masz zwiastować?...

— Broń Boże!... Mam pogadać o sprawie, która nie jest moją...

— Hm?..., — mruknął Jan III — jakżeby tu zrobić?... Czy ruszyć tych panów?... — tu oczami na obecnych ukazał. — Czy ruszyć się samemu?... Człek po przekąsce ciężki... ale ha! cóż robić!...

To rzekłszy, z krzesła się udźwignął, co mu nie bez wysiłku niejakiego poszło, miał już bowiem zacięcie tuszy owej, jakiej później nabył, a którą odznaczają się dwaj wojowniczy królowie polscy: Bolesław Chrobry i Jan Sobieski. Udźwignął się, kiwnął na pana Macieja głową i rzekł:

— Pójdź waszmość...

Przeszli do komnaty, przyrządzonej na pokój sypialny. Król usiadł i zapytał:

— Cóż tedy?...

— Spadła mi do chałupy, najjaśniejszy panie, imć pani Łobodzina, na imię chrzestne Krystyna, *de domo* Łączyńska, starościanka buska... Wymknęła się z jasyru... chorowało biedactwo, z wielką biedą do zdrowia przyszło... Ale cóż!... małżonek w jasyrze... ona ni wdowa ni rozwódka, ni panna... Chce się rzucić do nóg waszej królewskiej mości — tu czapką się królowi do kolan pokłonił — i prosić łaski jego o wydobycie jej małżonka z niewoli...

— U ojca nie była?... — zapytał król.

— Była, najjaśniejszy panie... ale...

— Ojciec o niczem słyszeć nie chce... — dokończył Jan III. Hm... Starosta ma racją...

— Ja mu racji zaprzeczać nie myślę... — odrzekł pan Maciej — i nie o to właściwie, najjaśniejszy panie, chodzi...

— O cóż?...

— O to, żeby Łobodę z niewoli wydostać...

— Właśnie też jedno z drugiem się łączy... Trzeba dać okup... Kto go da?... Nie starosta... chyba że Łobodzina własne posiada fundusze, albo że Łoboda majątek ma...

— Imć Łobodzina nie ma nic, imć Łoboda na zagonie siedzi...

— Cóż więc chcesz?...

— Możeby wymiana jaka?... Imć Prokop Łoboda, żołnierz waleczny... mężnie stawał w potrzebach... poniósł ran nie mało...

— Był pod Chocimem?...

— Był słyszę...

— Hm?... Łoboda... Łoboda... — powiedział król półgłosem do siebie i zadumał się na chwilę. — Nie byłoby źle mieć po stronie swojej trochę Łobodów, Mohyłów, Dubynów, Hoholów... Hm?... Pomyślimy...

— Jeżelibyś wasza królewska mość pozwolił pani Łobodzinie stanąć przed sobą?

— Możnaby...

— Przyprowadziłbym ją przed oblicze waszej królewskiej mości... ot tak... na rozmówienie się... we cztery oczy...

— Broń panie Boże!... — rzucił się król. — Oto byś mi usłużył?... Dziękuję waszmości! Miałbym się z pyszna, gdyby się jejmość moja dowiedziała, żem z młodą niewiastą we cztery rozmawiał oczy!... Nie... Jeżeli udzielę posłuchania, to przy świadkach: przyjdziesz waszmość, ja zaś przywołam księdza spowiednika, który zna duszy mojej tajemnice i posiada jejmości mojej ufność...

— Kiedyż wasza królewska mość pozwoli?

— Kiedy?... hm?... Zachodzi tu trudność jedna... Nie chciałbym narazić sobie starosty buskiego, radbym więc, żeby on nie wiedział o audjencji, jakiej udzielę córce jego... A rzeczy takie się rozgadują!... Jakżeby więc to zrobić?... Aha!... Poślę mu ordynans dziś jeszcze, ażeby się z częścią piechoty udał jutro do Mohylewa... Jednakowo piechota mi tu niepotrzebna, tam zaś się przyda... Jutro tedy, o południu, przyjdź waszmość i przyprowadź ze sobą Łobodzinę...

— O, dziękuję waszej królewskiej mości!... upadam do nóg!... polecam mu służby moje...

Skłonił się do kolan i począł się mieć precz, gdy Jan III zawołał na niego:

— Mości Małuski!...

— Słucham waszej królewskiej mości!

— Nie wiesz, że się z przed oblicza monarchy nie odchodzi bez wyraźnego z jego strony pozwolenia?...

— O?... — odezwał się pan Maciej zdziwiony. Dalipan nie wiedziałem o tem.

— Idź-że zdrów... A nie przyszedłbyś dziś na obiadek postny?...

— Najpokorniej dziękuję waszej królewskiej mości.

Pan Maciej skłonił się nizko, wyszedł i powrócił wprost na kwaterę.

Jurek w izbie siedział, drzemiąc potrosze. Gdy ojciec wszedł, obudził się.

— Cóż tam?... — zapytał jegomość.

— Nic... Nie wychodziła ztamtąd... — odparł Jurek, ukazując na radna, osłaniające kąt.

Stary zbliżył się do zasłony, odchylił nieco, dłoń podniósł i rzekł:

— Spi... Wielkie jej szczęście...

Starościanka uległa temu, czemu podlega dużo ludzi, gdy ich zgryzota opanuje: nieprzepartemu pociągowi do spania. Zdaje się, że skłonność ta właściwą jest istotom nerwowym. Przypuszczać więc godzi się, że starościanka nerwową była— i zapewne tak być musiało. Spało biedactwo, znajdując w śnie reakcją fizyczną w odniesieniu do stanu duszy, który inaczej utrzymywałby ją w stanie rozdrażnienia rozpaczliwego. Jegomość zwrócił się do syna z zapytaniem:

—Pomyślałeś ty co wedle obiadu?...

— Zkąd?... Siedziałem tu kołkiem...

— Posiedzęż teraz ja, a ty idź i kup tam czego... studzieniny jakiej, może lin się trafi... Trzeba będzie piwa zagrzać i z powideł coś zrobić... Trzeba na nią — tu na zasłonę ukazał — uważać...

W czasach owych, podróżny w Polsce sam o własnych myśleć musiał wygodach. Gospody dawały jeno dach; do spania należało posiadać pościel własną, jadło trzeba było sobie kupić i ugotować. Jadło gotowe znajdowało się jeno u przekupek, pod postacią kiełbas wędzonych i studzie-

nin wieprzowych albo rybnych. U żydów przytem wyjątkowo znaleźć było można rybę faszerowaną i łokszynę. Wielkie miasta posiadały garkuchnie. Po miastach prowicjonalnych instytucja ta nieznaną była.

Jurek ruszył wnet na miasto, przejrzał rynek i sklepy, nakupił wiktuałów i powróciwszy, przystąpił niezwłocznie do przyrządzania obiadu. Gotowanie nie zabrało czasu dużo. Krupiarz był tyle łaskaw, że pożyczył naczynia i udzielił nawet garści parę krup hreczanych. Gdy wszystko było gotowe, jegomość zbudził staróściankę.

— Ano... prosimy do stołu...

Pani Krystyna wstała, z po za radna wyszła i w milczeniu przy stole usiadła.

— Spożywajcie we dwoje...

— A tatko?... — zapytał Jurek.

— Byłem na przekąsce u króla...

Wyraz ostatni tknął niby młodą kobietę. Podniosła na jegomości wyrazem zapytania napełnione oczy.

— Cóż król?... — zapytała.

— Będzie mógł coś postanowić, gdy się z tobą rozmówi... Przysposób-że się do rozmowy tej... podjedz sobie, ażebyś sił nabrała i dobrej bądź myśli...

— Och! jak mi dobrej być myśli!...

A do czego myśli złe?... Nikomu tem nie pomożesz, sobie zaszkodzisz... jeżeli zaś będziesz spokojna, może też pomożesz komu...

Pani Krystyna westchnęła i głową pokiwała.

Jegomość namawiał ją i zapraszał, ażeby też co pokosztowała. Gdy nabrała piwa grzanego na talerz, zapytał, czy kiedy króla widziała?

— Widziałam nieboszczyka króla Michała...

— Jakież zrobił na tobie wrażenie?...

— Był chory:.. Zrobił na mnie wrażenie smutne...

— Otóż król Jan co innego... silny, zdrów i piękny... Ten chyba pożyje długo, do lat dziewięćdziesięciu przynajmniej...

Jegomość zagadywał starościankę umyślnie, ażeby ona, słuchając i odpowiadając, jadła niechcący. Podstęp ten powiódł mu się nieźle. Starośaianka zjadła piwa talerz i dzwonko lina na zimno. Następnie myślała o jutrzejszem u króla posłuchaniu, zadawała odnoszące się do onego zapytania jegomości; na tem zeszedł jej dzień i z myślą tą powieczerzała i spać poszła. Przespała się, wstała, odziała sie skrzętnie, pośniadała i doczekawszy się południa, poszła w towarzystwie jegomości na zamek.

Król czekał na nich w gabinecie.

Pani Krystyna uklękła przed nim.

— Wstań jejmość i siadaj!... — pospiesznie mówił Jan III, ukazując jej siedzenie obok księdza, który przy posłuchaniu asystował. — Cóż mi powiesz dobrego?...

— Najjaśniejszy panie! — zawołała — mąż mój w niewoli tatarskiej!...

— No... wiem o tem... Cóż!.. nieszczęście!... Trafiło się to nie jednemu tylko asani mężowi... Byłem i ja w niewoli tatarskiej... jadłem koninę i piłem mleko kobyle... Widzisz jednak asani, żem ztamtąd wrócił zdrów.

— Królu mój i panie!... wstaw się ty za niego!...

— Wstawiać się... nie można... U Tatarów wstawianie się nic zgoła nie waży... Trzeba wyszukać i albo wykupić, albo wymieniać... Owóż o wykupieniu ani myśleć... co się zaś wymiany tyczy, to mamy wprawdzie jeńców tatarskich, ale ze znaczniejszych mało kogo. a Tatarzy wolą jeńca naszego sprzedać albo nim robić, aniżeli za Tatara prostego wymienić... Znam ich, bom był pomiędzy nimi... Pogański naród!... o swoich nie dba... cudzego pragnie.

— Więc nie ma nadziei!... — jęknęła kobieta.

— Przeciwnie, jest... Z Tatarami przecie tłuczem się ustawicznie, więc może się jaki murza, jaki znaczniejszy trafi... Grunt wiedzieć, gdzie mianowicie małżonek asani przebywa...

— Najjaśniejszy panie!.. Bez twojej pomocy czyż wiedzieć można!...

— Bez pomocy mojej... Asani się zdaje, że król, byle tylko pomocy udzielić zechciał, to wnet wszystko niby z płatka pójdzie... Ja tylko polecić mogę... Oto wyprawiam właśnie Myśliszewskiego do Krymu... przywołać go tu każę i asani rozmówi się z nim...

Klasnął w dłonie i dworzaninowi, który wszedł, kazał poprosić pana Myśliszewskiego.

— Jeżeli nic poradzić nie można, to bylebym wiedziała gdzie on?... — westchnęła pani Krystyna.

— Cóżbyś asani z wiadomością tą zrobiła?

— Poszłabym do niego!... dzieliłabym niewolę jego!...

— O!... gdybyś to uczyniła, to nie byłoby winszować czego, ani tobie, ani małżonkowi twemu... Tatarzy nie uznają ślubów, przez kapłanów kościoła świętego katolickiego udzielanych, więc jak skorobyś stąpiła na ziemię ich jurysdykcji podległą, *ipso facto* małżonką imć pana Łobody być byś przestała...

— Najjaśniejszy panie!... — odrzekła, oczy na króla z wyrazem błagalnym podnosząc.

W chwili tej wszedł do komnaty człowiek lat średnich, rysów oblicza orjentalnych, zdradzających Ormianina. Wszedł, skłonił się uniżenie i stanął przed królem w postaci oczekującej.

— A oto — odezwał się wnet Jan III — do instrukcji poselskiej twojej nowy przybywa artykuł... Jejmość pani Łobodzina ma męża w niewoli tatarskiej: należałoby wywiedzieć się, gdzie się on znajduje.

— Dawno w jassyrze?... zapytał przybyły.

Pani Krystyna podała datę.

— W którem wzięty miejscu?...

— Pod Starokonstantynowem... — odpowiedziała.

— Ba... ale na której drodze: czy na trakcie zasławskim, czy na szlaku co do Połonnego prowadzi, czy do Ostropola?...

— Jechaliśmy z Krasiłowa i dojeżdżaliśmy już... widać było wieże kościelne i mury zamkowe...

Myśliszewski zamyślił się na chwilkę, spoglądając na króla, ze swojej strony zrobił także minę taką, jakby kombinacje jakoweś czynił. Po chwilce Jan III rzekł do Myśliszewskiego:

— Ani chybi... zagon od tego czambułu, co dościgniony i rozbity został przy kopcach hrybeckich...

— Czemuż się tam jednak imć pan Łoboda nie znalazł?...

— Rozłączyli nas na drodze — podchwyciła młoda kobieta. Nas jeńców było sześcioro... i gdyśmy prowadzeni byli, Tatarzy zlękli się czegoś, rozbiegli się... mnie uprowadzili w stronę jednę, męża mego w drugą...

— Jeżeli tak — odparł Myśliszewski — to małżonek pani dostał się na Czarny szlak. Czarnym szlakiem pociągnęło czambułów kilka i było z nich parę, zdaje się — tu na króla spojrzał — turbowanych...

— Dwa — odrzekł król — jednemu jeńców odbito, a drugi — westchnął Jan III — jeńców wyrżnął...

— Gdyby się imć Łoboda pomiędzy odbitymi znajdował... — zaczął Myśliszewski.

Nie dokończył jednak. Pani Krystyna okryła się bladością śmiertelną i pochyliła się. Jegomość pospieszył do niej. Król klasnął i wody podać kazał. Bryźnięto na nią; przyszła i do króla złożone wyciągnęła dłonie.

— Bądź asani spokojna... — przemówił tenże. — A że też te niewiasty!... byle co!.. natychmiast mdleją... Czambułów trzy uszło, uprowadzając jeńców... małżonek więc asani jest może cały i zdrów... Myśliszewski wyszpera... Czekaj więc asani i miej w Bogu nadzieję... a tymczasem idź w spokoju... Gdy się zguba odszuka, my ci tam znać damy... Powiedz nam jeno, gdzie szukać ciebie?...

— Na hrybeckim futorze, najjaśniejszy panie... — podchwycił pan Maciej.

— Jakoś od Czeczelnika to niedaleko?...

— Mil dwie.

— No... więc dobrze... Idźcież w spokoju...

Podał panu Maciejowi rękę, którą ten ucałował; podał rękę pani Krystynie — ta toż samo uczyniła; dodał jeszcze słów kilka na uspokojenie stroskanej, która ze strony swojej dodała słów kilka prośby gorącej: i pan Maciej ze starościanką na kwaterę powrócili.

(Dokończenie nastąpi.)

---

*

STUDJA ESTETYCZNE

przez

Wojciecha Dzieduszyckiego.

SZTUKA NADREŃSKA.

(Ciąg dalszy.)

III.

Rubens miał mnogich poprzedników, i już na początku 15-go wieku malował sławnie w Niederlandach Jan Van Eyck wraz z bratem Hubertem. Oni to wymyślili malarstwo olejne i zakochali się w połyskach barwy. Narodzeni w kraju płaskim, form pięknych nie widywali wcale, ale widzieli wszędzie sytą barwę, pełną odblasków wody. Trawniki nigdzie nie były tak zielone, jak we Flandrji, w Brabancie i Holandji; wody Renu, Skaldy i morza, odsełały mnogie odblaski lśniące i niepewne, ale syte na ogrody i łąki; ludzie bogaci i pracowici, ubierali się w mnogi towar zamorski, albo w domu wyrabiany, w jedwabie, aksamity, futra i przedziwnie połyskujące płótna i sukna; wilgotne a chłodne powietrze i syte jadło, wyrobiły wreszcie typ pięknych ludzi, typ jasnowłosy, modrooki o dobrej tuszy i regularnych rysach, którego głównem znamieniem i główną ozdobą niezrównana cera, na której przejrzyste rumieńce występują na białej skórze. Kształtów plastycznych nie widział Van-Eyck, ale widział sytość barwy i bogactwa. W obrazach przedsięwziął tedy sytość tę oddać, uwiecznić, wzmódz jeszcze, jeżliby się wzmódz dała, i odmalował wśród innych rzeczy i „baranka bożego“ w Gandawie, ze wszech miar uwagi godne dzieło.

Mówiłem w liczbie pojedyńczej, że Van-Eyck ten obraz odmalował, nad bocznym ołtarzem w kościele świętego Bawona w Gandawie. A to, mówiąc prawdę, dwu braci obraz ten malowało w Gandawie. A jednak ci dwaj bracia, co całe życie jeden obraz malowali, to rzeczywiście jakby jeden tylko artysta, jakby jedna dusza i ciało jedno o dwu imieniach. Nie odróżnisz Jana i Huberta, jedną mieli rękę, jedno oko, jedno uczucie, jedną myśl.

Ów baranek Boży, to nie jeden obraz, to prawdę powiedziawszy, obrazów sześć. Pośrodku największy przedstawia ogromną łąkę malowaną przecudnie, łąkę Flamandzką, wśród której człowiekowi radośnie. Oko patrząc na tę zieloność, odpoczywa odświeżone, myśl przypomina lipcowe tchnienia i wonie, i łagodne ciepło północnego lata. Zmysły przez półroku przeszło skazane na zimową pokutę, radują się widokiem tej łąki. Patrząc na nią, myśląc o niej, wzmaga się człowiek znów, ale inaczej zrazu, jak wtedy, gdy patrzał na greckie ideały i florentyńskie misterja. Tam wzmagał się rozum, tam wzrastało więcej duchowne uczucie. Tu cieszą się zmysły nieznużone — tu cieszy się ciało.

Trzeba, żebyśmy stali się jasnymi, żebyśmy powiedzieli jakie wrażenia duchownemi, a jakie cielesnemi nazywamy — a mówiąc o tem, musimy unikać metafizyki, i omijać pole walk filozoficznych. Będzie to zadanie trudne, ale musimy je spełnić, aby myśl naszą uzupełnić, aby ostatecznie utwierdzić teorję wynikającą z całego ciągu naszego badania. Prosimy tylko czytelnika, by zechciał nas bez uprzedzeń wysłuchać, i zrozumieć. Niech własną dobrą wolą uzupełni to, czego powiedzieć nie zdołamy.

Wrażenie jest to podrażnienie organizmu jakiegoś, wywołujące nowe działanie w organiźmie; i rośliny i najniższe zwierzęta ulegają wrażeniom, a nie posiadają uczuć. Światło, przybytek, albo ubytek ciepła, wilgoć, wicher robią wrażenie na roślinie każdej; niektóre rośliny wrażliwsze tulą się za najlżejszem dotknięciem, a każdy wie jakie wrażenie czyni na kwiatach nadchodząca burza i jak wszystkie przed nią mróżą powieki swych listków. Nie nam rozsądzić, o ile i które zwierzęta mają wrażenia tylko, u których powstaje już uczucie. Ale zanim się wrażenie zamieni w uczucie, musi istota ulegająca wrażeniu wiedzieć o niem. Jak długo ta świadomość nie rodzi ani wesela, ani smutku, pozostaje wrażeniem tylko lubo już świadomem. Człowiek trawiąc, albo oddychając, ulega wrażeniu nieświadomie dlań przez obce ciała wywartemu. Widząc kolory i słysząc tony, staje się świadom zmysłowego wrażenia — doznaje uczucia wtedy dopiero, gdy mu wrażenie sprawia przykrość albo przyjemność. Takie uczucie o ile jest skutkiem wrażenia oddziałującego bez pośrednio na organizm ludzki, jest własnością wspólną zwierzęcego i ludzkiego świata, z wyłączeniem roślin, a może i niższych zwierząt. Takiemi wrażeniami są: ból, niemiły smak, smród, uczucie którego się doznaje słysząc zgrzyt albo wrzask, i oćmienie przez zbyt jaskrawe światło. Są to uczucia niemiłe, czysto cielesne, wywołane przez oddziaływanie ciał obcych, albo, jak głód i choroba, przez chemiczne zmiany wewnątrz organizmu. Miłe wrażenia cielesne są liczniejszemi od niemiłych. Do nich doliczyć należy, rozkosze, poczucie łagodnego ciepła, zdrowia, samo bezbolesne poczucie życia, sen na pół świadomy i wreszcie wszystko co pokrzepia i wzmacnia; dalej poczucie dobrego smaku, miłej woni, dostrzeżenie barwy intenzywnej ale nie jaskrawej, i czystego a niezbyt głośnego tonu lub akordu.

Na różne sposoby usiłowano tłumaczyć przyczynę bolu i przyjemności, ale tłómaczenia dwa tylko zasługują na większą uwagę, a zdaje mi się, że się okaże, że obydwa równie prawdziwe. Mam na myśli starożytną teorją Platona, i najnowszą teorją nowożytnych pozytywistów. Gdy się tak jednej jak drugiej właściwe oznaczy granice, powiedzą obie razem prawdę.

Platon mówił, że sprawia nam przyjemność to, co jest zgodne z pojęciem naszej istoty, że ból rodzi to, co temu pojęciu przeciwne. Aby zrozumieć go, trzeba uprzytomnić sobie o ile pojęcie, idea istnieje w świecie rzeczywistym. Wiemy, że powstaje ono w umyśle naszem, gdy sobie uprzytomniamy cechy podobne rożnorodnych istot, i wiemy, że tworzymy tak pojęcia szersze, tak zwane generalja. Otóż pomiędzy niemi znajduje się i tak zwane pojęcie rodzaju przyrodniczego. Nie wdając się w spór o powstawanie rodzajów, musimy stwierdzić, że każdy zaród organiczny usiłuje wytworzyć sobie ciało podobne do pojęcia rodzaju, do którego rodzice jego należały. Ziarno jabłoni wytwarza jabłoń, żołądź w dąb wyrasta, z kurzego jaja wychyla się kura, z orlego orzeł, a zaród lwa wyrasta na lwa, zaród ludzki na człowieka. I po dokonanem wzroście usiłuje siła organiczna zachować zdobyte ciało, którego panią się stała, które przenika do ostatnich krańców, które jest narzędziem za pomocą którego może się dalej rozwielmożniać. Tę siłę łączną, centralną w człowieku nazywamy duszą; a że ona posiada świadomość, jest osobą i tworzy właściwą osobistość naszą. Dusza ta uważa ciało za własność i czuje boleść, ilekroć ciało owo, idea rodzaju, bywa zmniejszonem, osłabionem, nadwerężonem; albo ilekroć związek między centralnemi a dalszemi organami bywa przerwanym — to jest, ilekroć nerwy bywają przerwane, albo tylko w nienormalny sposób rozdrażnione. Oto sens jednego tłómaczenia — prawdziwy.

Pozytywiści dzisiejsi mówią, że to sprawia przyjemność co daje ruch dostateczny organom, że to sprawia ból, co organa zbyt silnie wytęża. O ile to wytężenie przerywa regularny ruch płynu nerwowego, o tyle schodzi się tu podana przyczyna z poprzedzającą. Ale i tu mamy do czynienia z właściwą kategorją zjawisk.

Dusza — gdyśmy już raz o niej mówić zaczęli — pragnie nietylko posiąść ciało, pragnie jego użyć. Więc tedy jeżli ból najczęściej ma swój początek w uszkodzeniu ciała, używanie zaczyna się tam, gdzie powstaje czynność jego, i to czynność taka, w której organizm występuje zwycięzko i wszelkie trudności zwycięża łatwo. A przyjemność ta jest największą tam, gdzie granica możliwej czynności ciała osiągnięta — bo tam zwycięstwo i działanie największe i największe dodatnie używanie. Tak tedy intenzywne barwy, pełne tony, silne wonie, jasność, ruch, pływanie, sprawiają używanie najsilniejsze. Granica pełnego używania leży gdzieindziej dla różnych ludzi, w miarę siły ich organów, a po za tą granicą leży znany wszystkim stan, w którym używanie trwa jeszcze zmięszane już z przykrością, w którym organa mogą jeszcze działać, ale nie bez walki. Kto się takiemu używaniu wytężonemu odda, ten dozna po krótkiem używaniu boleści. W sztukach przeznaczonych dla oka, nie można użyć tej jaskrawości, bo trwałaby tu, i musiałaby widza znużyć. W muzyce wolno zbyt krzykliwe tony na chwilę, ale na chwilę tylko wsunąć do melodji, której dodadzą siły.

Podobnie ma się rzecz i ze zbyt wątłemi wrażeniami. Odkrycie tychże bywa nader miłym dowodem przenikliwością organów, ale zbyt długie śledzenie znuży. Na takich półwrażeniach nie może się oprzeć dzieło sztuki, ale półodcienia są dozwolone w malarstwie — bo tu jest podbieństwo odkrycia ich, a to odkrycie dodaje pozorów misterności obrazowi. Takie niedostrzeżone przechody barw dodają uroku naturze i przyczyniają się do czaru krajobrazów. Nikt się w nie nie winien wpatrywać z wytężeniem, każdy prawie dostrzeże je rad. I choć się sztuka malarska bez pełnych barw nie obejdzie, mówiliśmy już w Wenecji, że półcieni potrzebuje. Przeciwnie muzyka nie znosi ćwierćtonów; gdy się w naturze jawią, psują harmonją i mącą ją, a wyższość muzyki ludzkiej zależy na tem właśnie, że ucho wszystko w niej łatwo chwyta. Chcieć uchwycić przelotną ćwierć tonu niepodobieństwem prawie dla słuchu.

Otóż to widok łąki zielonej namalowanej przez Van Eycka po części sprawia, po części przypomina przyjemności cielesne. Sprawia je o tyle o ile intenzywną a najmilszą dla oka barwą podrażnia normalnie nerw wzrokowy, przypomina je o ile przypomina aż do złudzenia łąkę i wiosnę, wonie owe, i tony i świergot ptaków i szmer owadów, i ciepło porządne, i po-

wiewy chłodzące, i spoczynek na mucawie. Bo i spoczynek i ustanie cierpienia bywa przyjemnością dla tego, że przywraca równowagę ciała. Mylił się tylko Epikur gdy twierdził, że nie ma przyjemności innej nad brak cierpienia.

Ale nietylko cielesną rozkosz sprawia widok prawdziwej łąki, a widok łąki malowanej, podobnie jak widok każdego dzieła choćby najbardziej zmysłowej sztuki, sprawia przeważnie rozkosz duchowną.

Istnieją prócz cielesnych wrażenia i uczucia duchowe. One są wyłączną prawie własnością rodzaju ludzkiego — przynajmniej w świecie ziemskim, i zaledwo można się domyślać czegoś podobnego u najwyższych zwierząt.

Wrażeniem duchowem jest poznanie, pojęcie przedmiotu leżącego po za maszyną ciała, po za organizmem, jest przy tem rzeczą obojętną czy to poznanie uskutecznia się za pomocą zmysłów, czy w jaki inny sposób. Przez takie wrażenie rozciąga dusza swoje włodarstwo po za bezpośrednio podbite ciało. Nie będziemy się sprzeczać o to, czy należy się tu mówić o wrażeniach duchowych. Nazwaliśmy tak te rzeczy za zgodą powszechnego używania językowego, a powiedzieliśmy wyraźnie jakieśmy rzeczy tak nazwali. Kto nas zechce zrozumieć ten zrozumie.

Otóż wrażenia duchowe rodzą prawie zawsze miłe albo niemiłe uczucia duchowe. Miłemi uczuciami tego rzędu są: Poznawanie, pojmowanie, skuteczne badanie, podziw, współczucie, groza, śmiech i tych uczuć warjanty często już opisywane w ciągu studjów estetycznych. Przeciwstawieniem tych uczuć są uczucia przykre, jako nieporozumienie, niepojmowanie, znużenie umysłowe, wzgarda, upokorzenie, nuda, nienawiść i obrzydzenie. Kto trwając w stanie niemiłym spodziewa się że zeń wyjść może, ten się cieszy nadzieją, której wyższym stopniem ufność. Ziszczenie się nadziei, albo niespodziane szczęśliwe wydarzenie rodzą radość, a dłuższe trwanie miłych tak duchownych jak i cielesnych uczuć budzi szczęście. Przeciwnie obawa o utratę rzeczy miłej jest trwogą, której spotęgowaniem przestrach, której ziszczenie rodzi boleść, zamieniającą się łatwo w rozpacz gdy nadziei nie stanie. Wreszcie trwałość jakichkolwiek niemiłych uczuć nazywa się nieszczęściem.

Ale odchodzimy zbyt daleko od Van Eycka, i wchodzimy w głąb filozoficznej już prawie analizy. Czas nam tedy wrócić do mistrza i przypatrzyć się jego łące, i osóbkom co po niej chodzą: potem niedługa będzie droga do Rubensa i do ostatnich wielkich świąt sztuki, po których miała nastąpić długa noc, dpiero za dni naszych prawie przerwana nowym zmierzchem — zwłaszcza u nas w Polsce.

Ale mówmyż raz przecie o Van Eycku! Otóż by skończyć z dysertacją i rzecz nawiązać powiedzmy, że łąka prawdziwa w misternej grze barw, i różnorodności kształtów roślinnych wydaje piękno duchowej natury. Kto na barwy patrzy tylko, ten ciałem się cieszy, kto je rozróżnia ten już pojmuje, a tem bardziej pojmuje ten, co na kształty roślinne patrzy badając. W stucznej łące Van Eycka oddane z dziwną starannością wszystkie odcienia i wszystkie kształty przyrody. Chodziło mu o każdy liść, o kwiat każdy; a prócz tego uprzytomnił nam tajemnice perspektywy, i kazał podziwiać kunszt własny, upiękniając wszystko przez nadzwyczaj intenzywną ale nie ćmiącą barwę. Kto poprzednie studja czytał, temu więcej mówić nie potrzebuję.

W samym środku tej łąki, i w samym środku obrazu stoi na ołtarzu baranek Boży z otwartem gardłem. Baranek białością odbija od zieloności łąki, a krew czerwona tworzy nadzwyczaj silny kontrast.

Do baranka i ołtarza ciągnie cztery procesje przez łąkę i procesje te przedłużone i na dwu skrzydłach obrazu. Dążą symetrycznie jakby od jakiegoś wielkiego miasta w głębi. Widać tedy wśród nich i rycerzy, i królów i proroków i papieży i dziewice i królowe, o głowach portretowych, o ruchach prawdziwych, minjaturowo ale doskonale rysowanych i ustrojonych w intenzywne barwy. Prócz zmysłowego wrażenia barwy, prócz artystycznego używania, które daje jak na owe czasy rzeczywiście zadziwiające wykonanie, równające się prawie robocie największych mistrzów, cieszy i zajmuje umysł jeszcze rozmaitość wyrazów na rozmaitości twarzy. Ma tu rozum do roboty.

Ale w wyższej części obrazu zmierzył się Van Eyck z wyższem jeszcze zadaniem. Odmalował tu postacie tak wielkie jak połowa żyjącej osoby, a wyobrażające Zbawiciela, Matkę Boską i Świętego Jana Chrzciciela. Każda z tych postaci tworzy osobny obraz w osobnych gotyckich ramach. Zbawiciel jest to mąż ciemnobrody, ubrany w koronę i ornat bogaty, z księgą objawienia i kulą świata. Wygląda na archiereja prawosławnego. Ma rysy regularne, twarz trochę otyłą i wyraz spokojny. Ale ornat i korona głównie zwracają na siebie uwagę barwą. I Madonna czytająca z modlitewnika, i święty Jan nastrojony podobnie jak zbawiciel, głównie świecą niewidzianą gdzieindziej jaskrawością szat i przyborów. Każdy kamień drogi wychodzi z płótna, każdy włos żyje życiem osobnem, a w głębi widać przedmioty, o których myślisz, że one rzeźbione, i krajobrazy, które chcesz namacać. Obraz ten to dziwny klejnot mówiący przedewszystkiem do oka. Przed nim uznasz, że po Van Eycku nikt już nie znał olejnego malarstwa; nigdzie już się oko twoje tak barwą nie nasyci, nigdzie już nieobaczysz tyle bogactw tak łudząco malowanych. Twarze nie są idealnie piękne, przedmiot mistyczny wykonany tak, że żadnej mistycznej myśli nie zrodzi, ale rzecz jako klejnot niezrównana. Jak klejnot bawi oko, jako malowidło wywołuje podziw. To robota tak misterna jak koronki tumów gotyckich.

Daruje Memling, że o nim prawie nie wspomniemy. Niepowiedziałby nam nic takiego czegoby Van Eyck nie wygłosił. A jeżeli ominiemy Gerharda Van der Veyde i Rogera Boutza, to nie dlatego byśmy nie umieli cenić ich nieco barbarzyńskiej biegłości, ale dlatego, że nam Quintin Matzis powie to wszystko coby oni powiedzieć zdołali. Szukajmy tedy Matzisa co żył już u schyłku piętnastego wieku, i zajdźmy do muzeum Antwerpijskiego, z którego już nie tak rychło wyjdziemy. Boć Antwerpia stolicą sztuki na północy, a Muzeum owo jej sercem. Tu tedy rozgośćmy się jak w domu, a zacznijmy rzecz od Matzisa.

Wielki jak na owe czasy obraz, wyszły z pod jego pędzla, wisi tu omal że nie na pierwszem i honorowem miejscu, na przekor poźniejszym arcydziełom siedmnastego wieku. Jest to znów średniowieczny tryptyk, czyli, mówiąc inaczej, są to trzy obrazy: jeden większy pośrodku; dwa mniejsze po bokach. Każdy z tych obrazów stanowi osobną artystyczną całość, o każdym należy się mówić z osobna, a my ograniczymy się na tem, że się przypatrzymy środkowemu i jednemu z bocznych obrazów.

We środku zdjęcie z krzyża, czyli raczej pogrzeb Chrystusa, przedmiot bolesny, unikany przez włoskich mistrzów odrodzenia, a ukochany przez szkołę flamandzką średnich wieków. Włosi zapatrzyli się w szczęście i bóstwo; Flamandzi ukochali ludzkość i ludzkie rzeczy. Zrazu ludzkie bogactwo, potem ludzkie uczucie.

Ten pogrzeb Chrystusa wcale niesymbolicznie pojęty. Jest to fakt prawdziwy, rzeczywisty, namacalny; jest to fakt ludzki, pozbawiony wszelkiego ideału, wszelkiej cudowności. Święci poprzebierani w flamandzkie szaty niosą przez zielony krajobraz skostniałe, nieruchome ciało Chrystusa, ciało chude od początku, a wyprężone przez mękę tak, że na każdym składzie widać niemoc, śmierć i cierpienie. Twarz brzydka, jest twarzą bizantyńskiego ikonu, namalowanego żywemi karnacjami, a wykrzywionego śmiercią i obmazanego krwią. Ciało to wstręt budzi i obrzydzenie. Ideał ludzkiego ciała zbezczeszczony, a oko na płótnie domaga się koniecznie czegoś, co się do ideału zbliżyło. Długo, ciągle patrzyć na anormalne linje niepodobna, nie uczuwszy niemiłego uczucia, że tu coś stale sprzeciwia się owej średnicy rozumowej, którą sobie każdy wytworzył, myśląc o rodzaju ludzkim. Takie ciało jest policzkiem, danym naszemu sądowi — jest uwiecznieniem brzydoty. Prócz tego przypomina ciało swą boleść fizyczną, i to do reszty zniechęca.

I okoliczne postacie budzą niemiłe myśli i rodzą wstrętne uczucia. Najwięcej zwracają na siebie uwagę Marja i Marja Magdalena; a jakżeż one dziwne! Najpierw sam ich strój daje znów policzek sądowi naszemu i wywraca gwałtownie wszystkie pojęcia nasze. Nie są to boginie drapowane, jeno mieszczki nowożytne, wystrojone z pretensją. Zamiast myśleć o nieprzystępnej sferze ideałów, przypomnisz sobie, patrząc na nie, brud i pył miejski, targ, warstat, codzienną pospolitość, codzienne drobiazgi. Na ulicy byłyby ich twarze ładne zresztą, ale to twarze uliczne, przypadkowe. Nad boleścią swoją nie panują, nie wyrażają w niej miłości, ni godności, ni potęgi; krzyczą, wiją się, jak źle wychowane kumoszki, co często krzykiem dorabiają za brak uczucia. Ruchy ich niezgrabne i wszystko boleśnie poziome.

A jednak boleść i dobre naśladowanie życia, które było jednym z głównych celów artysty, działają tak, jak działać winne, tak, jak działać muszą, wedle prawa. Boleść ich i w tobie rodzi boleść drugą, jakby odźwierciedloną; wstaje litość, wstaje współczucie; wzmagasz się, mnożysz, dwoisz litością; zbliżasz się coraz więcej do tych istot; tylko że tu nie masz podziwu, że nie masz grozy, że się tu nie łączysz współczując z bóstwem; łączysz się, zrastasz z pospolitymi ludźmi, niepanującymi nad sobą, nieposiadającymi wyższego polotu.

I jakiegoż doznasz wrażenia? Odpowiedzieć trudno, bo to zależy od tego, czem jesteś.

Jeśliś prostak i jeśli masz pokorę tę, że siebie uważasz za prostaka — jeśliś człowiek pospolity, podobny do ludzi na obrazie, uczujesz bardzo żywe współczucie; a że sama litość potęguje byt twój i mnoży go, zespalając z po-

dobnymi do siebie, więc nic cię nie wzniesie po nad twój poziom, jak przy traicznej grozie, jak przy współczuciu dla istot doskonalszych, ale wszystko rozrzewni, rozczuli. I być może, że obraz ten najsilniej przemówi do prostaków, że oni tę boleść zrozumieją, nie rozumiejąc wzniosłego cierpienia postaci Skopasa i Michała Anioła. Być może, że idealniejszy utwór wyda się zimnym wielu, których to malowidło rozczuli. Piękno, potęga stały zbyt wysoko po nad głową rzemieślników antwerpijskich, aby do nich przemówić mogły, i tylko pospolitość dla ich serca dostępną była. Dla nich tedy namalował Matzis prawdziwe arcydzieło, co ich nie upokarzało wyższością, co nie wymagało od nich umysłowej abstrakcji i co im serce raziło tem silniej, że patrząc na ten wizerunek krzykliwej boleści, myśleli sobie, że tu chodziło o „Dobrego Pana Boga“, o „tak wielkiego Pana i tak dobrego Ojca“. Gdy w obrazie brakło grozy, dorabiali ją sobie w myśli naiwnie, po prostaczemu, i płacząc rzewnie, doznawali uczucia traicznego w pełni.

Uczucie to stopniowało się jeszcze, gdy na jednym z bocznych obrazów oglądali dwu katów, co nad ogniem za pomocą korby mieszają olej, w którym świętego Jana Ewangelistę smażą. Tęgie to chłopy, w koszulach, o zakasanych rękawach, śmieszni, brzydcy, którzy ze złości język pokazali. Ten gest, ta brzydota wzniecały w widzu szlachetne oburzenie, wzniecały w nim chęć podjęcia walki z wrogami Boga, czynnego przystąpienia do świętej sprawy, podnosiły w nim odwagę i wiarę w siebie, i moc zaparcia i poświęcenia. Ale, ażeby tych wszystkich wrażeń doznać przed tym obrazem, trzeba być prostakiem na duchu. A pod koniec życia Matzisa podzieliła się na północy ludzkość na dwie połowy. Ogół pozostał w prostocie swojej, ale ten ogół, myśląc o chlebie powszednim, nie miał czasu używać wrażeń sztuki. Bogaci, ci co obrazy kupować mogli, zapoznali się ze wskrzeszoną starożytnością, z ideałem fizycznym i moralnym, z niepowszedniemi celami, z abstrakcjami co rozum wzmagają, z popędami co w miarę złotą ujmują wzniesione do góry uczucie. Dla takich ludzi stały się wkrótce przykremi utwory podobne do utworów Matzisa.

Budziły zawsze litość, ale ta litość była źródłem wzgardy i upokorzenia. Umysł człowieka rozumniejszego i stalszego, człowieka, którego uczucia wychodziły po za zakres osobistego samolubstwa, na szersze pole uczuć i namiętności religijnych, politycznych, naukowych i ogólno-ludzkich, czuł się przysuniętym i gwałtem złączonym przez współczucie z istotami, co nie znają nic innego, prócz pospolitej drobnostkowości. Upokarzającem dla polityka było współczucie ze zwykłym szachrajem, jakim się jemu wydał święty na obrazie, upokarzającem dla myśliciela współczucie z brzydotą i z samolubnym wrzaskiem prostych, nieokiełzanych niewiast, wstrętnem dla wykształconego dewota to, że boskie ideały przystrojono na obrazie w powierzchowność tuzinkowych ludzi. Współczucie zmuszało do sądu, przymuszało do łączności i budziło wzgardę. Uczucie wyższości własnej, bez innej przymieszki, źródłem komiki, z przymieszką litości i wstrętu, rodzi okropnie niesmaczne wrażenie wzgardy. Zbliżony litością do postaci malowanych, czujesz, że ta łączność cię zniża i pragniesz się co najprędzej od nich oderwać. Po chwilowem zbliżeniu, nastąpi odepchnięcie. Zbliżenie upokarzało, ściągało — odepchnięcie usamotni, i czujesz wreszcie, żeś i samotny, i niemocny, i mały mimo twego trudu i twoich myśli.

Kaci z wywalonym językiem wzmagają to uczucie. Brzydcy, nikczemni, naigrawają się z ciebie, depcą po tobie. Ty czujesz, żeś niższy od tych tworów podłych, że przynajmniej możesz się ich bać, że nie możesz ich poniżyć jako tego godni. Chciałbyś się przeciw nim obronić, a nie możesz ich zmusić, by z ciebie nie kpili. Nietylko jesteś samotny, nietylko upokorzony, ale czujesz nienawiść, co cię toczy niemocą w samotności i zrozpaczoną żądzą niemocy i gniewną walką z niemocą, co się wzmaga w miarę jak z nią walczysz. W szesnatym wieku wydał się obraz Matzisa brzydkim. Jeżdżono odtąd do Włoch po obrazy, a doma walczono o wolność, i prawa i wiarę. Nie miano w Niderlandach czasu malować po koniec szesnastego wieku; myśl ich artystyczna usnęła w bezczynności, a dopiero w siedmnastym wieku mogły Niderlandy wypowiedzieć to, co czuły w plastycznej formie.

Rubens stał się samym sobą dopiero, gdy wrócił z Włoch w r. 1610. Aby zobaczyć, jakiem arcydziełem objawił się Flandrji i światu, należałoby nam wyjść teraz już z muzeum antwerpijskiego i zajrzeć do antwerpijskiej katedry. Nie uczynimy jednak tego i nie będziemy krok za krokiem ścigać rozwój rubensowskiego jenjuszu. Inny porządek będzie jaśniejszym.

Rubens malował portrety i krajobrazy. Ale właściwym jego zawodem było malowanie gwałtownych walk duszy i ciała, a stworzył dzieła wiekopomne na prawdę, gdy serją różnorodnych obrazów całe dzieje jakieś opowiadał. Przejdziemy tedy dwa takie malowane opowiadania, a potem dopiero przypatrzymy się różnym pojedyńczym utworom tego nad wyraz płodnego mistrza. A zaczniemy teraz od rzeczy najważniejszej, od tego, co się widzi w Antwerpii, od dziejów nowego zakonu, odmalowanych w piętnastu przepysznych obrazach, z których jeden tylko znajduje się po za Antwerpią. W tych obrazach zjawi nam się już Rubens cały, a gdzieindziej znajdzie się tylko dopełnienie tego, co tu poznamy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JAPONJA

przez

K. SKAŁKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

II.

Ulice i domy japońskie; trwałość i moc tych ostatnich; z papieru budowane. Wypadek artystki p. Leonowej w Jokahamie. Japońskie dzieci i teatr. Herbaciarnie i «gietcze»; japoński obiad, muzyka i tańce. Klimat po części powodem, że to co w innych krajach uważa się za nieprzyzwoitość i słusznie, w Japonji należy do rzeczy naturalnych.

We wszystkich miastach japońskich ulice są nadzwyczajnie do siebie podobne. Na pierwszy rzut oka czynią one wrażenie uliczek na placu jarmarcznym, zastawionym budkami. I rzeczywiście, każda ulica, nader starannie, nawiasem mówiąc, wybrukowana kamiennemi płytami, składa się z dwóch rzędów leciutkich zabudowań, których cały front przeznaczony jest zwykle na sklepik. Literalnie nie ma ani jednego domu, w którymby nie było sklepu, a oprócz sklepu jeszcze i zakładu przemysłowego, co z jednej strony świadczy o wielkim rozwoju handlu i rzemieślnictwa, z drugiej zaś służy jako dowód, że w Japonji wcale nie znają świadectw przemysłowych, wskutek czego każdemu tam wolno sprzedawać swoje wyroby. Należy wszakże dodać, że wiele z tych sklepów jest tylko od parady, bo co do mnie przynajmniej, nigdy nie zdarzyło mi się widzieć w nich kupującego, a zresztą i pojąć nie łatwo, jak może istnieć jednocześnie tyle miejsc zbytu. Do nadania jarmarcznego pozoru grodom japońskim, przyczynia się nadto wielce pstra i różnobarwna publiczność, bezustannie snująca się po mieście.

Wałęsających się psów po ulicy nie widać, a co do żebraków, tych i na lekarstwo nie ma, ale za to ujrzysz wielkie mnóstwo dzieci, ubranych zupełnie jak dorośli. Dzieci maleńkie w Japonji noszą na plecach, a że od dzieciństwa przyuczają tam dzieci nosić jedne drugie, to też na każdym kroku spotkasz się z pociesznym widokiem, jak jaki siedmioletni lub, co najwyżej, ośmioletni bęben dźwiga na sobie dwuletnie dziecko, śpiące z rozwartemi ustami i główką w tył odrzuconą.

Wielka uprzejmość i grzeczność wraz z spokojnem zachowaniem się, cechują japońskie pospólstwo. Raz wraz spotykasz kłaniających się z wielkiem uszanowaniem, które na tem polega, że oddający ukłon chwyta się za kolana i zgiąwszy się we dwoje, wciąga w siebie powietrze. Nadzwyczajna czystość i pewna elegancja, również stanowią jeden z przymiotów japońskiego gminu. Młode niewiasty w prześlicznych swych chałatach, z kwiatami we włosach, a z różnokolorowemi parasolkami w ręku, swobodnie spacerując, wielce przyczyniają się do nadania życia tłumowi; pijanego nie widać, burdy żadnej — chyba gdzie się poczubi majtek europejski. Na podobne gminy nie trzeba policji, i panowie policmeny w mundurach wojskowych więcej myślą o swoich butach, przyczyniających odciski stopom, przyzwyczajanym do lekkich sandałów, aniżeli o przestrzeganiu porządku. Bezpieczeństwo na ulicach najkompletniejsze, złodziejskich zaułków nie ma, bo Japończyk w zakładzie publicznym najgorszego gatunku, jest tak grzeczny, cichy i skromny, jak arystokrata europejski w salonach.

Szczególniejsza cecha budownictwa japońskiego, mimowolnie wprawia w zdumienie każdego Europejczyka. Pewien podróżny nader trafnie porównał miasto japońskie z pudełkiem zapałek. Z obawy przed trzęsieniami ziemi, Japończycy zabudowują się bardzo lekko, tak, że lekkość ta przechodzi w prawdziwą karykaturę. Jeszcze co do dachu, to pół biedy; jest on dość trwały i z powodu częstych ulew, zawsze dachówkami pokryty, ale ściany za to są tak wątłe, że już dalej nie idzie. Tylko zewnętrzne i to kawałkami, mają gdzie niegdzie deski cienkie lub glinę ubitą, reszta powierzchni składa się z cienkich, jak mały palec, prętów, na które się nakleja bibułka papirosowa. Papier zastępuje szkło, którego w Japonji prawie nie używają. Wewnątrz dom dzieli się ścianami także papierowemi: są to przegródki składające się z ramy, wyklejonej pięknym tapetem. Przegródki te zsu-

wają się i rozsuwnją jak drzwi w szafie na książki. O jakichś tam zamkach i ryglach, ani myśleć w podobnych domach. Drzwi, prowadzące na zewnątrz, zwykle otwarte na oścież, i przechodzień z ulicy widzi jak na dłoni całe życie domowe Japończyka.

O trwałości i mocy podobnego budynku, można sądzić najlepiej z wypadku, jaki się przytrafił w Jokahamie artystce, pani Darji Leonowej. Dżynrykcza którym pędziła, spuszczając się z góry, a nie obliczywszy się z siłami, chroniąc własne swe nogi od szwanku, odskoczył na bok i szanowna ta pani poleciała na dół z nabytą prędkością, przebiła jedną ścianę stojącego na poprzek drogi domu, po gładkich jak posadzka matach, któremi zwykle wysłane są pokoje, przeleciała przez wszystkie przegródki i przebiwszy następnie na wylot drugą ścianę domu, tak się skaleczyła w głowę, że musiała koncert odłożyć.

Z wyjątkiem wpomnianych mat, kilku lakierowanych kufereczków, postawionych jeden na drugim, a dalej również lakiem pokrytej maleńkiej ławeczki z popielniczką i mikroskopijnym imbryczkiem na herbatę, zwykle nic więcej nie ma w pokojach japońskich. Dla wygodniejszego siedzenia używa się niekiedy poduszka, nie większa jak dno talerza. Jedzą z maleńkich lakierowanych talerzyków, siedząc na podłodze w koszuli, a gdy ciemno, to stawią także na podłodze, drewniane lichtarze ze świecami z wosku ziemnego, mającemi knoty z bibułki.

Do snu Japończycy kładą się na kołdrach rozesłanych na podłodze, nakrywają się zaś bardzo grubym chałatem (szlafrokiem), który się nazywa „ftonem," a zamiast poduszki, podkładają pod głowę poniżej ucha niewielki kawałek drewna. Taka poduszka nazywa się u nich „makurą". Dla miękkości kładą na makurę paczkę papieru, który, jak nadmieniłem, służy w Japonji do najrozmaitszego użytku i ma nader szerokie zastosowanie. Pojąć łatwo, że w podobnych domach panuje bardzo dotkliwy chłód podczas zimy, tem więcej, że nawet i w południowej Japonji śnieg pada w obfitości. Pomimo tego jednak pieców, z wyjątkiem dla gotowania strawy, Japończycy nie znają, i dla ogrzania się tak samo jak Hiszpanie używają przyrządu zwanego „czykałem" — brasero — napełnionego żarzącym się węglem. Czad który ztąd powstaje stanowi jedną z głównych przyczyn dlaczego Japończycy są zwykle niedługoletni, pomimo życia bez trosk w klimacie prześlicznym.

Ale czem najbardziej celują mieszkania japońskie, to nadzwyczajnem ochędóstwem, o jakiem w Europie wyobrażeniu nawet nie mają. Tyle słynna i zachwalana czystość Holendrów jest niczem w porównaniu z takimże przymiotem u Japończyków. Jak największa czystość przestrzegana jest nie tylko w mieszkaniach ale wszędzie i we wszystkiem. Proszę spojrzeć naprzykład na łodzie w portach, przeznaczone do przewożenia kamiennego węgla; ani jednej choćby skazy czarnej; tak są czyściutko wymyte i wylakierowane, że choćby zaraz za szkło je postawić. Nawet do domów „herbacianych" nie puszczą Japończycy za nic Europejczyka, któryby nie zdjął swego obuwia, i sami też zmieniają swoje, ku czemu u drzwi wchodowych stoi zawsze cała kolekcja sandałów. W kuchni taż sama czystość. Wannę znajdziesz w każdym domu, nawet na wsi. Po czystości wykwintnej, najwięcej dziwi Europejczyka grzeczność ich i uprzejmość. Oddawanie ukłonów przy powitaniu lub żegnaniu, stanowiło niegdyś osobną naukę, bardzo ważną w społeczeństwie podzielonem na kasty. Dziś jednak wchodzą tam powoli w modę europejskie zwyczaje i kompradorzy, którzy lat dziesięć temu przez grzeczność na brzuchu wpełzali do kajut-kompanji (salon na okręcie), od czasu jak nadano im prawo nosić spodnie (z którego to prawa zresztą dotąd nie skorzystali jakoś jeszcze), uciąć warkocze i zapuścić włosy na wygolonych wprzód umyślnych łysinach, ściskają już znajomych i nieznajomych za rękę z całą swobodą na sposób amerykański. Zresztą według starej metody japońskiej dotąd jeszcze po dawnemu robią się tam prezenta z miękkiego papieru..

Pięknemi manjerami i wykwintną grzecznością celują przedewszystkiem japońskie kobiety. Podobnej swobody w obejściu i podobnego braku wszelkiej nienaturalności a kłamliwej pruderji, jak u kobiet japońskich wziętych *en masse*, nie podobna znaleść w żadnym narodzie europejskim, pomimo że kodeks japoński zupełnie nie zna co to są tak zwane prawa kobiety. Kobiety w Japonji nie dziedziczą, a mąż ma prawo nie tylko w każdej chwili rozwieść się żoną, lecz i przedać ją nawet, ma prawo dalej utrzymywania dowolnej liczby innych kobiet a dzieci ich uważane są za prawe itd. Nawet następca tronu obecnie panującego cesarza postępowca Mutzu-Gito, nie jest synem żony jego, cesarzowej Habuko, lecz synem ulubienicy, po japońsku „mekake," będącej rodzoną siostrą księcia Janagiwary, który teraz w Petersburgu jest posłem. Oprócz tego, prawo dozwala każdemu Japończykowi, uznawszy za swoje, dzieci cudze, przypuścić je testamentem do równego spadku z dziećmi rodzonemi.

Japonka będąc niewolnicą według prawa pisanego, cieszy się atoli na podstawie panujących zwyczajów bardzo znaczną swobodą w postępowaniu i wielkiem poszanowaniem, co zaraz widać z całego jej sposobu obejścia. W jednem tylko jeszcze daje się dostrzegać zawisłość prawna kobiet od mężczyzn, a to w zwyczaju, według którego każda porządna niewiasta obowiązaną jest mieć brwi ogolone a zęby czernić lakiem, w skład którego wchodzi koperwas. Ma to niby oznaczać, że żona obowiązuje się nikomu się niepodobać, z wyjątkiem męża—warunek, jak się zdaje tego rodzaju, przy którym nie znalazłoby się wiele kobiet w Europie stanu małżeńskiego żądnych!

Dziewczęta również mają prawo począwszy od lat piętnastu, czernić sobie zęby, lecz szczęściem, dla turystów, żadna z nich nie korzysta z tego. Dzięki trybowi życia japońskiego, spędzanego albo na ulicy, albo w domu przy drzwiach otwartych, Europejczyk może napawać się do syta mnóstwem prześlicznych twarzyczek. Wszyscy cudzoziemcy, a szczególnie młodzi Francuzi nie mogą się nachwalić Japonek. Co do mnie, postaram się być bezstronnym i wypowiem zdanie, które mi się zdaje bardzo będzie niedalekiem od prawdy, a mianowicie: Z punktu widzenia europejskiego w Japonji nie ma nie tylko ani jednej wielkiej piękności, ale nawet i zwykłej, lecz z drugiej strony zato, w żadnym innym kraju na świecie nie znajdzie tyle ładnych buziaczków. Oryginalne suknie, sposób zaczesywania włosów i zwyczaj różowania twarzy i szyi, przy bystrych oczętach, wiele się przyczynia do tej ich przystojności.

Japonki wcale nie są podobne do Japonek na obrazkach, chociaż, jak się zdaje, ostatnie są ich ideałem, bo w teatrze naprzykład aktorki (przebrani mężczyźni) charakteryzują się zupełnie tak samo jak Japonki na obrazkach lub parawanach. Japonka zwykle jest wzrostu niewielkiego, z czarnemi rozumnemi oczyma, których kąty są nieco — ale bardzo nieznacznie — podniesione do góry, twarz okrągła, biała i dość szeroka, z rumieńcem pięknym, zęby cudowne, szyja długa, zwykle podbielona, pierś szeroka bardzo rozwinięta, ale wcale nie piękna pod względem klasycyzmu. Niższa część ciała nic nie warta; nogi suche i krótkie. Mężczyźni też samą mają wadę. Pochodzi to zapewne ze zwyczaju siadywania z nogami na krzyż pod siebie założonemi i z dźwigania dzieci przez dzieci. Tylko u dżynrykczów nogi są dobrze sformowane, chociaż także krótkie.

Ten brak nóg atoli wynagradzać umieją Japonki prześliczną toaletą. Japonki nie noszą ani majtek, ani koszuli, ale tylko zapaskę zawiązującą się w pasie, a na wierzch kładą dwie katanki (chałaty,) jedna na drugą. Wierzchnia katanka o szerokich rękawach, — która u kobiet porządnych jest zawsze ciemnej barwy a u innych i aktorek jaskrawej, ściąga się nieco pod kolanami, i u dołu rozszerza, a w kłębach ściska się szerokim niezwyczajnie pasem, zawiązującym się z tyłu na wielką, nader misternie ułożoną kokardę. Szerokie rękawy, pas i sztuczne zwężenie sukni w okolicach kolan, nadają właśnie Japonkom tę niezbędną według wyobrażeń europejskich pełność środkowych części ciała, której natura im odmówiła. Kolczyków nie noszą, i żadna Japonka dla kolczyków nie zgodzi się na zdefigurowanie uszów. Kobiety tak samo jak mężczyźni noszą pończochy perkalowe tak uszyte, że miejsce na palec wielki jest oddzielone od reszty stopy, co pozwala im nosić sandały, które bywają z cienkiej delikatnej słomy na pogodę, a drewniane na błoto. Dla nieprzyzwyczajonego trudno jest bardzo chodzić w japońskich sandałach.

Wszystkie Japonki mają gęste włosy; a że każdy włos japoński jest trzy razy grubszy od włosa europejskiego, jak o tem świadczą badania mikroskopowe, to dokładne uczesanie podobnych włosów wymaga szczególniejszej pilności. Japonki naturalnie wielce dbają o koafiurę swoją, a że takowa nie jest rzeczą łatwą i nie da się ułożyć bez pomocy drugiej kobiety i bez straty co najmniej godziny czasu, radzą więc sobie w ten sposób, że czeszą się tylko raz na tydzień i przyzwyczaiły się umyślnie spać na kawałkach drzewa zamiast poduszek, byle nie popsuć sobie fryzury. Fryzura ta bardzo jest do twarzy Japonkom; jest ona nader sztuczną, potrzebują dużo kwiatów, szpilek, grzebyczków i jeszcze jakichś tam szpilek, a nareszcie jakichś pręcików różnokolorowych. Dla wzmocnienia fryzury i ażeby włosy gładko leżały, służy pomada w skład której wchodzi wosk roślinny, olejek z nasienia kamelji muskus i kamfora z wyspy Borneo. Pomada taka doskonale spełnia przeznaczenia swoje, ale też nadaje Japonkom zapach lakierowanej politury, dla Europejczyka wcale niemiły, szczególnie w teatrze, lub innych miejscach publicznych, gdzie się zbiera dużo Japonek razem.

Dotąd mówiłem tylko o powierzchowności Japonek. Przymioty ich wewnętrzne odpowiadają zewnętrznym. W Japonji nie ma ani jednej dziewczyny, która doszedłszy lat 12, nie umiałaby czytać i pisać. Znają one wszakże tylko jedną „girakanę“, to jest zwykłe pismo, hieroglify chińskie zostawiono mężczyznom. Muzyka i umiejętność hodowania kwiatów, należy także do programu edukacji kobiecej. Szczególnie w niższych warstwach cywilizacja kobiet japońskich wypada pochlebnie w porównaniu z wykształceniem kobiet europejskich, należących do takiejże samej warstwy społecznej. Dość pomówić o potocznych rzeczach z Japonką, a każdy się przekona z ich odpowiedzi bystrych a trafnych, że są to kobiety rozumne i chętne wiedzy wszelkiej, usposobienia bardzo wesołego i bardzo towarzyskiego. W historji Japonji kobiety odgrywały nieraz bardzo znaczną rolę. Kilka cesarzowych (wszystkich było 11) niemałą okryły się sławą, a jednej z nich, mianowicie cesarzowej Cingu-Koho, która panowała w XI. wieku, Japonja w części zawdzięcza nawet i cywilizację swą teraźniejszą, albowiem podbiwszy Koreę, cesarzowa ta zetknęła poddanych swych z potężną już cywilizacją państwa chińskiego. Niemało też było Japonek bohaterek i poetek, a romans i dramat opiewa ich wielkie przymioty, a szczególnie poświęcenie. Dziewica, sprzedająca się w herbacianym domu (kawiarni), dla ocalenia życia rodziców swych lub narzeczonego, oto ulubiony temat wszystkich popularnych japońskich romansów.

Dla romansów zresztą nigdy nie brak tematów, a to z powodu wielkiej kochliwości Japonek. Były naprzykład wypadki, że znana stałość ich i wierność przyprowadzały do formalnej rozpaczy oficerów marynarki, przybyłych z Europy. Dziewice japońskie ścigały ich nieraz aż do Szangaju w Chinach. Nawet Japonka z herbacianego domu nie dopuści się niewierności, chyba że odjeżdżający sam jej da na to rozgrzeszenie. Kobiety stanu wyższego pędzą życie zamknięte; zdarza się, że nawet nie siadają do stołu razem z mężczyznami; lecz kobiety ze stanów niższego i średniego używają zupełnej wolności. Stosuje się to tak samo jak w Anglii i Ameryce, tylko do dziewcząt, mężatki bowiem mają zanadto dużo do roboty z dziećmi i gospodarstwem. Dziewczęta w Japonji uczęszczają wspólnie z młodzieżą nietylko do świątyń, lecz i do łazienek, i siadają do jednej z nimi kąpieli. Pisanie do siebie listów, któremu się z przyjemnością oddają, równie jest im dozwolone. Marynarze europejscy po powrocie do swych krajów odbierają częste od nich listy. Romans zresztą w Japonji jest rzeczą monotonną. Japończycy w sprawach miłosnych, jak powiedział pewien podróżny, zaczynają od tego, na czem my zwykle kończymy, i gruchaniem się wcale nie zajmują, pomimo swej gadatliwości we wszystkich innych sprawach tak, że nieraz trzeba im całemi godzinami objaśniać to, co zwykle można w trzech słowach powiedzieć. Tłumaczy się to w części odrębnym układem zdolności ich myślenia, a częścią duchem japońskiego języka, którego syntaksis jest dość dziwną.

Mody europejskie jeszcze jakoś nie doszły Japonek; tylko w Tokio zdarza się spotkać damę, która piękny swój narodowy ubiór zmieniła na paryski i wygląda w nim jak nieboskie stworzenie. Pomijając znany konserwatyzm kobiet japońskich, przyczyną tego jest i ta okoliczność, że rząd, jakby zapomniał o nich, zająwszy się wyłącznie połową ludności męzką i tylko płci męzkiej zalecając ubiór „postępowy“, umyślnym dekretem cesarskim. Do dekretu były dodane przepisy i rysunki, objaśniające jak szyć tużurki, a jak spodnie i kamizelki itd. Żurnale mód, wchodzące do kodeksu!... Na coś podobnie dziwnego nikt się nie zdobył od czasów Piotra W., który pałkami zmuszał niechętnych do używania peruk i fraka. Naturalnie, że żaden urzędnik japoński nie śmie być nieposłusznym prawu, to też chyba gdzie na prowincji znajdzie się urzędnik w narodowym stroju.

Zresztą i tu dają się widzieć urzędnicy, którzy z nadejściem wieczoru, szczególnie gdy muszą iść do domu herbacianego lub do „joszywaru“, chętnie, zrzuciwszy papierowe kołnierzyki i lakierowane ciżemki, nakładają chałat i sandały; ostrzyżona głowa czyni ich wtenczas podobnymi do katolickich kleryków. Kostium narodowy, pomimo że jedwabny, w rezultacie jest daleko tańszym, a to z powodu trwałości materji. Mają oni nawet taką materję, którą można nazwać wieczną, tak jest mocna, i czem więcej ulega praniu, tem staje się lepszą (?). Chałaty z podobnej materji przechodzą prawem dziedzictwa na potomków i wielce są cenione.

Do zalet kobiet japońskich zaliczyć należy i to jeszcze, że nietylko dbałe są o nadzwyczajną czystość pomieszkania i sprzętów domowych, ale i o czystość ciała własnego, czem chlubnie odróżniają się od Holenderek, pomimo że mydło w Japonji prawie nie jest używanem. Woda gorąca i silne nacieranie, a nawet i brzytwa, oto są środki utrzymania czystości ciała Japonek.

Zdumiewająco są też płodne. Nigdzie tyle dzieci, co w Japonji. Powiadają, że klimat tego przyczyną i że damy europejskie, które u siebie postradały były wszelką nadzieję zostać matkami, przybywszy do Japonji, zostawały niemi. Częste spełnianie macierzyńskich funkcyj, i to od dzieciństwa prawie, rujnuje piękność a może i zdrowie kobiet; każda Japonka w wieku lat czterdzieści wygląda jak zgrzybiała, i nie dziw, że Japończycy nie znają się na wartości czterdziestoletnich balzakowych piękności. Według ich zdania, czem młodsza kobieta tem lepsza i w żadnym też herbacianym domu niesposób znaleźć kobiety starszej nad lat dwadzieścia, lub co najwięcej, nad dwadzieścia dwa.

Obfitość dzieci połączona z łatwością i tanością ich wychowania, wyrodziły w Japonji niezwykłe w nich upodobanie. Pewien angielski turysta nazwał Japonję „rajem dzieci“, i nazwał bardzo słusznie. Japończycy sami nie są czem innem, jak tylko staremi dziećmi, nie dziw więc, że wiedzeni instynktem, tak doskonale umieją osłodzić dziecku życie i usunąć wszelkie przed niem nieprzyjemności i troski. O zamiłowaniu do dzieci świadczy nadto u Japończyków pewien rys charakterystyczny, o którym już wspominałem: w żadnym innym kraju nie ma usynowień tyle, co w Japonji. Kodeks nietylko że nie ogranicza w niczem tego zwyczaju, ale i owszem, pozwalając w całej pełni na praktykowanie onego, żąda tylko, ażeby w razie, gdy rodzice uznanego za syna lub córkę dziecka, pozostają przy życiu, dziecko to nie zrywało z nimi naturalnych krwi związków. Podobne dziecko, pomimo że korzysta ze stanu, imienia i wszelkich tytułów tego, który je przyjął za swoje, obowiązanem jest, wstępując w stan małżeński, prosić o pozwolenie obu rodziców, a w razie popadnięcia ich w nędzę, mieć o nich jednakową pieczę i staranie. Niemniej oryginalnem jest prawo o żałobie. Jeśli adoptowane dziecko otrzyma spadek po rodzicach, którzy go byli do domu, jako swoje, przyjęli, to w takim razie powinno ono nosić po nich żałobę przez czas dwa razy dłuższy, jak po rodzicach krwi, a jeśli nie otrzymało żadnego spadku, to odwrotnie.

Dzieci od chwili przyjścia na świat aż do czasu gdy wypadnie ruszać do szkoły, używają najzupełniejszej swobody. Na każdej ulicy można spotkać całemi dziesiątkami tych miniaturowych Japończyków, ubranych jak starsi w chałatach i sandałach, z tą tylko różnicą, że mają główki wygolone dokoła tak, ażeby czubek im tylko pozostał. Mnóstwo istnieje sklepów ze słodyczami i zabawkami dla dzieci, i starzy Japończycy z przyjemnością do nich zaglądają. W razie jakiego widowiska, wnet zbiega się tłum dzieci — śmiechy, hałasy i krzyki — i nikt im w tem nie przeszkadza. Dwa razy na rok przypadają osobne święta dla dzieci, w których literalnie cały kraj bierze udział z zapałem: urządzają się procesje, puszcza się niezliczone mnóstwo papierowych latawców, w czem Japończycy prawdziwemi są mistrzami, później słodycze, niezliczone zabawki i t. d. Dzieci wyglądają dość pięknie; szkoda tylko, że często spotkać można główki pokryte strupami; powiadają, że jest to forma syfilisu, który pomimo ochędóstwa, bardzo jest pomiędzy ludem rozpowszechniony.

Nie wiele narodów jest tak ochoczych do zabaw wszelkiego rodzaju jak Japończycy. Zaledwie zajdzie słońce, a już tysiące różnokolorowych ogni, zaprasza publiczność do domów herbacianych posłuchać muzyki, lub użyć różnych innych przyjemności, jedna od drugiej tańszych, pod jednym tylko warunkiem, zachowania jak największej przyzwoitości we wszystkiem. Teatr również jest bardzo ulubioną rozrywką, i często zdarzają się widowiska poczynające się ze świtem, a kończące się po północy. Jeśli dyrektor spóźni się z przedstawieniem, Japończycy nic sobie z tego nie robią; siedzą w sali i czekają cierpliwie po kilka godzin na podniesienie kurtyny.

Teatr do Japonji dostał się z Chin, pozostawiwszy daleko po za sobą przedstawienia chińskie, pod względem realizmu. W wodewilach teatr japoński w niczem nie ustępuje naszym, a co do wystawy, to w ostatniego rzędu prowincjonalnym teatrzyku japońskim, kostiumy są daleko świeższe i piękniejsze, niż bywają nieraz w europejskich stołecznych. Urządzenie sali w teatrze japońskim różni się od chińskiego tem, że Japończycy siedzą na matach z podłożonymi pod siebie nogami, ku czemu cała sala podzielona jest niskiemi przegródkami na skrzynie, i w każdej takiej skrzyni siedzi jedna rodzina z nieuniknionymi czajnikami z zieloną herbatą i popielniczkami do fajek. Japończycy bardzo dużo palą, a że fajeczki ich są mikroskopijnych rozmiarów, wystarczające ledwie na dwa pociągnięcia, więc ciągle trzeba wykluwać i wyrzucać z nich popiół.

Wzdłuż boków parteru, biegną dwa pomosty od sceny, formując z tą ostatnią podobieństwo do greckiej litery *P*. Na te pomosty wstępują nieraz aktorzy w czasie odgrywania swej roli. Kortyna nie zapada, lecz zasuwa się z boku i to tylko pomiędzy dwiema nowemi sztukami,

bo co do antraktów, to podczas nich nie zasuwa się kurtyny, lecz cała scena za pomocą osadzenia jej na kole obrotowem, obraca się przed widzem z tyłu na przód, co bardzo jest wygodnem. Podczas gdy na przedzie grają, już w tylnej części kręgu rozstawiono dekoracje nowe. Dekoracje zrobione są z zachowaniem nietylko wszelkiej naturalności, ale i perspektywy nawet. Dla wznoszenia się do góry lub zapadania w przepaść, urządzone są niewielkie ruchome pomosty na linach (trappes). Orkiestra mieści się za sceną i również jest obrzydliwą jak chińska. Akompaniuje ona bez ustanku, chociaż aktorzy przemawiają prozą. Budki suflerskiej nie ma i sufler pomieszczony bardzo niefortunnie na scenie na widoku, ciągle biega z swym seksternem od jednego do drugiego aktora.

Zachowanie się publiczności w teatrze, jest pełne spokoju i przyzwoitości. Dzieci za to, co chcą wyrabiają. Po każdym akcie zaraz lecą na scenę, skaczą i hałasują i co chwila przesuwają główki swe przez otwory w kurtynie, dokazują, słowem, jak u siebie w domu, i ani jednemu ze starszych nie przyjdzie nawet na myśl powściągnąć ich swywolę — ale i to prawda, że i dzieci japońskie, nawet swawolące, zawsze są również grzeczne i delikatne, jak ich ojcowie i matki.

Grają w teatrze albo wyłącznie sami mężczyźni, albo same kobiety. Nie widziałem kobiet w rolach męzkich, ale mężczyźni cudownie udawali role kobiece. Maniery i talje zupełnie kobiece; wzrost jeno nieco wyższy, na co nie ma rady. Podczas dramatów nic nie rozumiałem, lecz gdy dawano wodewil, gra aktorów była tak charakterystyczna i pełna ekspresji, że i bez tłumacza wpadałem łatwo na sens przedstawianej sztuki. Treścią jednego z wodewilów były nadaremne zaloty starca do młodej dziewczyny, kochającej młodego. Komedja tu należała oczywiście do sztuk współczesnych, bo moralistą, który bezustanku śmieszył gości swojemi uwagami, był dżynrykcza, a wiadomo, że dżynrykczowie dopiero od lat dziesięciu znani są w Japonji. W sztukach autorowie starają się kopiować jak najstaranniej wszystkie szczegóły życia domowego, przyczem zwyczaj siedzenia z podkurczonemi nogami staje się powodem, że sceny pozbawione są należytego ożywienia i ruchu.

Na scenie często można zobaczyć „garakizę“, t. j. obrzęd płatania sobie brzucha, który często dawniej praktykowany pomiędzy szlachtą dla ocalenia honoru domu, dziś nietylko, że poszedł w zapomnienie, ale wyśmiewany jest już i w farsach ludowych. Garakiza na scenie przedstawianą bywa z tak okropną dokładnością, wprawia widza w tak wielkie złudzenie, że ludzie ze słabemi nerwami nie powinni uczęszczać na podobne widowiska.

Domy herbaciane odgrywają w życiu Japończyków ogromną rolę. O zakładach tych literatura europejska ma bardzo błędne pojęcia. Jedni widzą w nich nic innego jak zwykły dom rozpusty, drudzy — rodzaj wyższych akademji żeńskich, w których dziewice dobrego rodu nauczane bywają wszystkich tajemnic kobiecej zalotności. Jedno i drugie, a szczególnie drugie, nie zupełnie zgadza się z prawdą. Wszystkie bez wyjątku herbaciane domy uważane są jako miejsca wytchnienia po dziennej pracy, i różnią się tylko stopniem przyzwoitości: w jednych, lepszego gatunku, zwanych „czaja“, można się tylko bawić słuchaniem śpiewu „gietcz“, będących pod względem moralności daleko surowszemi od aktorek drugorzędnych naszych teatrów; w innych znów, zwanych „josziwara,“ wolno się zabawić w sposób mniej niewinny. Dawniej panowało prawo według którego rodzicom wolno było oddawać lub sprzedawać dzieci do domów herbacianych — ale dzieci tylko własne, nie zaś adoptowane — z którego to prawa korzystali chętnie rodzice ubodzy. Teraźniejszy kodeks zniósł to prawo, i w herbaciarniach można już spotkać jedynie podlotki, będące na wychowaniu u śpiewaczek, nauczających je, jak mają podobać się mężczyźnie, bo należy wiedzieć, że „gietcze“ nie tylko uprawiają śpiew i muzykę, lecz nadto obowiązkiem ich jest usługiwać przy herbacie lub jedzeniu i wszelkiemi sposoby starać się, ażeby się gość nie nudził.

Japończycy zachwycają się śpiewem swych gietcz, przyczem nie obchodzi się bez krytyki; palmę pierwszeństwa oddają śpiewaczkom z okolic górskich, miejskie uważane bywają za posiadające mniej talentu wrodzonego od pierwszych i t. d. Europejczyk nie może smakować w podobnym koncercie, ma on dla niego znaczenie jedynie pod względem swej osobliwości. Oficerowie amerykańskiej korwety „Ticonedoroga“, wraz z oficerami rosyjskiego okrętu, urządzili w Nagasaki, w pewnej lepszej herbaciarni Fudzitego, umyślne przedstawienie *extra*, na które ja byłem zaproszony. Należy wiedzieć, że pomimo upodobania we wszystkiem co z Europy pochodzi, wstęp do herbaciarni lepszego gatunku jest dla Europejczyków zamkniętym i tylko przez protekcję prawdziwych Japończyków, można je zwiedzić. Oto w krótkich słowach, jakie wrażenie wyniosłem:

Przedewszystkiem kazano nam u drzwi zrzucić obuwie, następnie posadzono nas w wielkiej sali na matach, przed każdym postawiono na podłodze lichtarz, popielniczkę i dwie pałeczki, poczem do boku każdego wyznaczono dla usługi po ładnej śpiewaczce w prześlicznym kostiumie. Po przyniesieniu potraw na talerzach lakiem pokrytych, kładziono je na takichże talerzykach, ale już takiej tylko wielkości, jak bywają nasze popielniczki. Nawet zupę trzeba było jeść pałeczkami. Wódkę z ryżu, zwaną „saki“, podawano w miseczkach porcelanowych, nie większych jak pół włoskiego orzecha. Potrawy były sporządzone bardzo wykwintnie i czysto, podawano je z wdziękiem i mnóstwem ukłonów i dygów, lecz wdzięk nie mógł przemódz obrzydzenia do specjałów kuchni japońskiej. Ryż i ryby, świeże i wędzone, oto grunt kuchni japońskiej; mięsa prawie nigdy nie jedzą. Obiad nasz nie-arcy był pyszny. Zaczął się od herbaty, potem chleb biszkoktowy, zupa z grzybów i czerwonej kapusty bez najmniejszego smaku, biały dorodny bób z sosem osłodzonym, ryba surowa z chrzanem struganym w drobniutkie paski, gotowana karakatica (?) o smaku papki papierowej, smażona jakaś rybka, również obrzydliwa, i nareszcie mandaryny. Jakiego smaku te ostatnie, nie umiem powiedzieć; obrane i oczyszczone były one japońskiemi rączkami w sposób bardzo oryginalny.

Gdyśmy wyplunęli ostatni kęs obiadu, rozstąpiło się koło, gietcze poszły się przebrać i rozpoczęło się widowisko. Dziewięć gietcz siadło w półkole, według starszeństwa lat zawodu artystycznego, i poczęły stroić „chamesiny“ swoje — rodzaj gitar, w struny których uderza się deszczułeczką ze słoniowej kości, której zaostrzony koniec ma oprawę z szylkretu. Deka chamesyn może służyć za bęben. Chamesin z powierzchowności bardzo pięknie wygląda i powiadają, że nieraz kosztuje aż 30 dolarów, co mu wcale nie przeszkadza wydawać przeraźliwe dźwięki, zdolne iść w zawody z kocią muzyką. Wszystkie japońskie melodje są w tonie minorowym, wszystkie krótsze od dzióba wróblego i każda sztuka składa się z ciągłego powtarzania jednego i tego samego motywu. Poczyna się naturalne od *andante,* a później, w miarę zwiększania się żwawości tempa tańcu, przechodzi w *presto,* przyczem koncertantki, które ani na chwilę nie przestawały śpiewać, nie śpiewają już, lecz formalnie krzyczą poprostu.

Tańce japońskie są bardzo zawiłe i skomplikowane; nie tańce to, lecz raczej pantomimy, w których wachlarz i parasolka wielką odgrywają rolę. Wiele z tych tańców przeplatane są djalogami rytmicznemi, treści bardzo nieprzyzwoitej, opiewającej miłość według ludzkiego wieku. Do innych znów tańców śpiewaczki przebierają się za mężczyzn. Z pomiędzy tańców komicznych, najbardziej podobają się Japończykom dwa tańce: pierwszy z nich polega na tem, że wszyscy postępujący za przewódzcą gęsiego, powinni także same wykonywać ruchy ciała, jakie on spełnia. Łatwo pojąć co się dzieje, gdy na czele stanie jaki *farceur* dowcipny. Drugi taniec komiczny, zwany „czury-fury“, jest właściwie grą w fanty pod dźwięki muzyki. Grające stają parami jedna naprzeciw drugiej, śpiewając pocierają najprzód nos o nos, a następnie jedna z nich nazywa jaką część ciała, dajmy na to, że rękę, a chwyta się za drugą, przypuśćmy, że za ucho. Na to stojąca naprzeciw powinna schwycić się za tę część ciała, która była nazwaną; lecz że uwaga jej została rozdzieloną, nie chwyta się więc za należną, lecz poddając się mimowolnie prawu sympatji, dotyka się prawie zawsze tej części, do której jej *vis-à-vis* się dotknęła, a zatem przegrywa i musi dać fant, będący zwykle jaką częścią toalety śpiewaczki. Gdy gra postępuje żwawo i obie artystki są równej siły, to wkrótce obie zupełnie zostają nagiemi. W „czury-fury“ grają i goście, nie tylko same gietcze. Na obiedzie, na którym byłem, pewien japoński dymisjonowany urzędnik dyplomatyczny okazał taką biegłość, tańcując „czury-fury“ sam jeden przeciwko dwom gietczom, że niebawem obie przyprowadził do stanu rajskiego, a pomimo tego sam został jeszcze w takim kostiumie, w jakim zachwycają komicy palerojalscy gawiedź paryzką.

Należy dodać, że w Japonji obnażenie ciała nie liczy się do nieprzyzwoitości. Gorący klimat spowodował, że przyzwyczajono się patrzeć tam na to, jak na rzecz naturalną, i tylko po miastach, w których dozwolonym jest pobyt Europejczykom, policja nie pozwala chodzić nago.

Japończycy kąpią się i myją razem z kobietami, matki, karmiąc dzieci, obnażają w wagonach pierś swoją, nie wstydząc się nikogo, a dżynrykczowie jeszcze się lepiej spisują. Liberalna policja zobowiązała ich nosić koszule, lecz że to jest rzeczą anti-hygieniczną — bo z powodu silnego wciągania w siebie potu przez koszulę, plecy szybko się ochładzają, przez co człowiek bardzo łatwo dostać może zapalenia płuc — dżynrykczowie tedy, gdy wiozą przez czas dłuższy, poczynają najprzód podnosić koszulę

aż po pas, a następnie coraz wyżej i wyżej, aż dopóki nie zawiną jej po samą szyję, bez względu na to, czy tam krzyczy czy nie krzyczy „schoking, ach schoking!...“ siedząca za nim w powozie jaka Angielka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POŻAR.

Czytałem opis pożaru
Lubą twą rączką skreślony;
Opis był dosyć obszerny,
Sążniste cztery miał strony.

Opis był dosyć obszerny,
A jaki piękny, plastyczny!
Czytając czułem żar ognia,
Widziałem postrach paniczny.

Całe pół wioski już tonie
W jaskrawej płomienia fali —
A wiatr dmie, jakby umyślnie,
I słychać: «pali się! pali!»

Musiałaś pióro umaczać
W ten ogień, a nie w atrament,
Z taką był prawdą oddany
Ów widok straszny i zamęt.

Koniec się zbliża! Węglami,
Popiołem wiatr w oczy miecie —
I zgasł nakoniec ów pożar.
Cisza zaległa na świecie.

Czy zgasł istotnie? Ach! gdzie tam!
On skrył się w głąb' serca mego,
A tam go od zagaśnięcia
Błękitne oczka twe strzegą.

St. Rossowski.

MAŁŻEŃSTWO Z MANCHESTER.

NOWELLA

KAROLA DICKENS'A

przekład z angielskiego.

przez

E. K.

(Ciąg dalszy.)

Panu Openshaw nie brakowało ani na chęci, ani na środkach, aby mieć staranie o wszystkich, co go otaczali. Umieścił tedy panią Wilson w wygodnym domu, w którym nie była już zawisłą od lokatorów.

Gdy układał plany na przyszłość, Alicja prosiła tylko o zatrzymanie w domu Nory.

— Nie — odrzekł pan Openshaw. — Dopóki pani Wilson żyje, Nora powinna przy niej pozostać i mieć o niej staranie. Potem może do nas powrócić i na zawsze z nami pozostać, chybaby wolała osiąść na własnem gospodarstwie i mieć zapewnione utrzymanie. Ktokolwiek był dobrym dla ciebie, moja pani, lub dla twego dziecka, będzie wynagrodzonym, jak się należy. Ale właśnie dla naszej małej trzeba teraz czułej a przytem rozumnej dziewczyny, która, zamiast jak Nora, nacierać ją galaretą z cielęcych nóżek, używając to na zewnątrz, co wewnątrz się należy, będzie raczej czynić, co lekarz nakazuje; Nora nigdy nie mogła się zdecydować na to, ponieważ to dziecku przykrość robiło.

Ja wprawdzie także dosyć jestem czuły na cierpienia innych. Mogę sam wiele wytrzymać, nie zmieniając nawet koloru, lecz przecież w sali operacyjnej staję się słabym, jak panienka; jednakże podjąłbym się trzymać na kolanach tę biedną dziewczynkę, chociażby najbardziej krzyczała z bolu, gdybym wiedział, że przez to wyjdzie ze swego kalectwa. No, no, nie płacz, zachowaj twoje łzy na czas, w którym w istocie do tego przyjdzie, chociaż wątpię, żeby kiedykolwiek nadszedł. To jest pewnem, że Nora oszukuje doktora gdzie może, aby tylko dziecku przykrej chwili oszczędzić. Mówię więc, oddal ją na rok lub dwa, a potem, kiedy gromada doktorów wypróbowała, co potrafi zrobić, a pani Wilson może już ze światem się pożegna, możesz Norę znowu do siebie wziąć, lub jaki lepszy los dla niej wybrać.

Gromada doktorów nie zdołała pomódz małej Alicji. Lecz ojciec — pan Openshaw wymagał, żeby jego ojcem nazywała — przez swoje zdrowe, staranne postępowanie, swój dobry humor, swoje prawdziwe przywiązanie do nieszczęśliwej dziewczynki, rozlał nowy blask na jej smutne życie; rozweselał, osładzał je, tak, że chociaż na zawsze pozostała ułomną, jej zdrowie się wzmocniło, i Alicja — której wesołość najdalej do uśmiechu dochodziła — doczekała się tej przyjemności, że widziała swoje dziecko doprowadzone do wesołego śmiechu.

Sama nigdy nie była szczęśliwszą, jak teraz; pan Openshaw nie żądał objawów czułości; owszem takowe byłyby go zraziły. Alicja była zdolna kochać z całej duszy, ale nie mówić o swoich uczuciach. Ciągłe wymaganie czułych spojrzeń, słów i pieszczot, a tłumaczenie braku takich dowodów, brakiem miłości, było największem zmartwieniem jej pierwszego małżeństwa. Teraz wszystko szło dobrze i gładko pod kierunkiem męża jasnego rozumu, dobrego serca i silnej woli.

Z każdym rokiem przybywało pomyślności. Po śmierci pani Wilson Nora powróciła do państwa Openshaw, w charakterze niańki nowonarodzonego synka Edwina; przy objęciu tego nowego urzędu musiała wysłuchać piękną, dobitną mowę szczęśliwego i dumnego ojca, który oświadczył, że jeżeli kiedykolwiek poważy się bronić chłopca przez kłamstwo lub uczynić go miękkim na ciele lub duszy, natychmiast oddaloną zostanie.

Nora i pan Openshaw nigdy szczerze nie zgadzali się z sobą, ale mimo to przyznawali sobie wzajemnie wiele pięknych przymiotów.

Taka była przeszłość lankaschirskiej rodziny, która się z Manchestru do Londynu sprowadziła.

Gdy już blisko rok mieszkali w stolicy, pan Openshaw oświadczył żonie, że postanowił pogodzić się z wujaszkiem p. Chadwick, z którym oddawna był poróżniony, zaprosił go więc z żoną do siebie, zachęcając do zwiedzenia stolicy.

Pani Openshaw wcale nie znała tego wujostwa swego męża. Wiedziała tylko, że pan Chadwik był rękodzielnikiem w jakiemś z mniejszych miast południowego Lankaschiru. Cieszyła się, że w rodzinie zgoda nastąpiła i przygotowywała dla państwa Chadwick jak najprzyjemniejsze przyjęcie. Przyjechali wreszcie.

Pojechać do Londynu było takiem zdarzeniem dla nich, że pani Chadwick dla tej podróży całą wyprawę zrobiła, odnawiając bieliznę, zacząwszy od nocnych czepków aż do pończoch; i tak opatrzyła się w suknie, wstążki, kołnierzyki i inne rzeczy, jak gdyby się wybierała między dzikich do Kanady, gdzie wcale nie ma modniarek i magazynów.

Na dwa tygodnie przed wyjazdem pożegnała się z wszystkimi znajomymi, twierdząc, że resztę czasu zaledwie wystarczy do pakowania. Robiło to na nią wrażenie drugiego wesela. Dla uzupełnienia tej iluzji przywiózł jej mąż z ostatniego jarmarku w Manchester broszkę, wysadzaną perłami i ametystami, mówiąc:

— Niech Londyńczycy wiedzą, że my Lankaschirczycy znamy się na pięknych rzeczach.

W pierwszym czasie pobytu w Londynie nie było sposobności wystrojenia się w takie klejnoty; ale nareszcie dostali pozwolenie do odwiedzenia pałacu Buckinghama; teraz sama lojalność wymagała, aby pani Chadwick jak najpiękniej się wystroiła, odwiedzając miejsce pobytu rodziny panującej.

Gdy ztamtąd powróciła, z pośpiechem przebrała się, ponieważ pan Openshaw zaproponował wycieczkę do Richmond, zkąd po wypiciu herbaty mieli powrócić przy księżycu. Około piątej wyruszyli z miasta.

Pokojówka i kucharka siedziały gdzieś na dole. Nora była jak przykuta do dziecinnego pokoju, zabawiając dwoje dzieci, siedząc wreszcie przy łóżeczku małej Alicji, dopóki nie zasnęła. Wtem pokojówka zapukała lekko do drzwi. Nora wyszła do niej i zaczęły szeptać:

— Niańko, jest tam ktoś na dole, co się chce widzieć z tobą.

— Widzieć się ze mną? Któż to taki?

— Jakiś pan.

— Pan? Co ty pleciesz?

— Niech więc będzie mężczyzna; pytał się o ciebie; zadzwonił i wszedł do jadalnego pokoju.

— Czegoście go wpuścili, kiedy pana i pani nie ma w domu?

— Jaż go nie zapraszałam, lecz gdy się dowiedział, że ty tu mieszkasz, odsunął mnie na bok, wszedł do pokoju, usiadł na pierwszem krześle i rzekł: Powiedz jej,

że chcę z nią mówić. Tam nawet nie ma światła — nakrycie na stole.

— O, pewno już zabrał srebro i uciekł — przerwała Nora niespokojnie i zabierała się do wyjścia, lecz zanim opuściła dzieci, spojrzała jeszcze raz na Alicję, która była pogrążona w śnie głębokim i spokojnym.

Gdy Nora schodziła ze schodów, nieokreślone obawy budziły się w jej duszy. Uzbroiła się w świecę i wchodząc do jadalnego pokoju, niespokojnie oglądała się w panującym zmroku, szukając obcego.

Stał oparty o stół; spojrzeli na siebie; widocznie poznawali się.

— Noro! — zawołał on.

— Kto pan jesteś! — zapytała Nora niedowierzająco. — Nie znam pana — dodała broniąc się czczemi słowami przeciw okropnej rzeczywistości.

— Czyż tak się zmieniłem? — zapytał smutnie? — W istocie musiałem się zmienić. Ale, Noro, powiedz mi — tchu mu zabrakło — gdzie jest moja żona? czy ona... czy ona żyje?

— Zbliżył się do Nory i chciał ją wziąć za rękę, ale ona cofnęła się i osłupiałym wzrokiem wpatrywała się w niego jak w coś bardzo strasznego.

Przecież to był przystojny mężczyzna, o ciemnej cerze, mający brodę i wąsy, przez co wyglądał na cudzoziemca; lecz jego oczy! Nie myliła się... były to te same piękne oczy, nad któremi przed pół godziną czuwała, dopóki nie zasłonił je sen słodki.

— Mów Noro! mów... ja wszystko znieść potrafię... tak często się tego obawiałem... powiedz, czy ona nie żyje?

Nora milczała.

— Umarła! — oczy jego ze strachem zawisły na Norze, oczekując potwierdzenia lub zaprzeczenia.

— Co ja pocznę? — jęknęła Nora.

— O, panie, po co przyszedłeś tu? Jak mnie znalazłeś? gdzie byłeś dotąd? Myśleliśmy, że pan nie żyjesz; byliśmy przekonani. Obsypywała go słowami, pytaniami, aby zyskać na czasie, jak gdyby mogło to w czem pomódz.

— Noro, odpowiedz mi prosto na moje pytanie;.... czy moja żona żyje?

— Żyje i jest zdrowa — odpowiedziała Nora.

— O, co to za szczęście! Czy odbierała moje listy? ale ty zapewne nie wiesz o tem.

Dla czego ją opuściłaś? Gdzie ona jest? O Noro! odpowiedz mi prędko.

— Panie Franku — rzekła nareszcie Nora, która nie wiedziała co czynić, gdyż w każdej chwili pani jej nadejść mogła; nie była w stanie pozostać dłużej w tem przykrem położeniu.

— Panie Franku, żadnego listu nie odebrałyśmy od pana, ni żadnej innej wiadomości. Właściciel okrętu twierdził, że pan utonąłeś i pan i wszyscy co panu towarzyszyli w tej podróży. Myślałyśmy, że pan już nie żyjesz... i tak biedna pani Alicja i jej ułomne dziecko... Może się pan domyślisz, bo ja dalibóg, ja tego powiedzieć nie mogę. Nikt temu nie winien... Boże pomóż!

Nora usiadła. Drżała tak, że na nogach utrzymać się nie mogła.

On pochwycił jej ręce, ścisnął je gwałtownie jak gdyby chciał wydusić z nich prawdę.

— Noro! teraz głos jego był spokojny, silny jak rozpacz. Ona powtórnie wyszła za mąż!

Nora powoli skinęła głową. Wypuścił jej ręce; — zemdlał.

Na stole stała wódka; Nora wlała mu kilka kropel do ust, nacierała jego ręce, a gdy zaczęły się objawiać oznaki życia, podniosła głowę nieszczęśliwego opierając ją na swych kolanach i usiłowała wsunąć mu do ust kawałek chleba zamoczonego w wódce.

Zerwał się gwałtownie.

— Gdzie ona jest? mów! mów natychmiast! — Spojrzenie, którem ją przeszywał, było tak dzikie, tak rozpaczliwe, że Norze prawdziwe zdawało się grozić niebezpieczeństwo; lecz to czego najwięcej obawiała się — chwila, w której musiał się dowiedzieć prawdy — minęła; powróciła świadomość rozpaczliwego jej położenia, a z nią przytomność umysłu; trzeba było koniecznie ztąd go oddalić. Stłumiła więc chwilowo w duszy swej litość, jaką wzbudziła jego rozpacz, oddana całkowicie myśli, że go ztąd wyprowadzić musi za nim pani jej powróci.

— Nie ma jej tu, to wszystko co panu w tej chwili powiedzieć mogę. Odejdź pan a powiedz gdzie mogę cię znaleść jutro; przyjdę do pana i opowiem wszystko, teraz dłużej tu pozostać nie możesz, lada chwila powróci moja pani i pan; cóż oni na to powiedzą, jak mnie tu z cudzym mężczyzną zastaną.

— Nie troszczę się o nich. Jeśli twój pan jest człowiekiem, to się zlituje nad nieszczęśliwym rozbitkiem, jakim jestem. W niewoli pośród dzikich ludzi, przez tyle lat żywiłem się tą słodką nadzieją, że do mej żony powrócę; o niej marzyłem dzień i noc, z nią rozmawiałem choć głosu mego dosłyszeć nie mogła... Nad życie ją kochałem, więcej niż zbawienia pragnąłem jej widoku... Mów! gdzie ona? mów natychmiast nikczemna kobieto — coś ją tak zdradziła jak mnie zdradzasz.

— Dziesiąta godzina biła. W rozpaczliwem położeniu, rozpaczliwych używa się środków.

— Jeśli opuścisz pan teraz dom ten— nalegała Nora — przyjdę jutro do pana i wszystko opowiem; a co więcej, pokażę ci teraz dziecko twoje, które tam na górze spi. Bo pan masz dziecko, masz biedną ułomną córeczkę; tak dobrą, tak rozumną, jak nie bywają inne dzieci. O panie! jak starannie wychowywaliśmy ją dotąd, jak troskliwie! — zdawało się, że lada dzień ta ukochana istotka zgaśnie nam... czuwaliśmy nad nią... nigdy nie słyszała srogiego słowa. Panie! panie, czyż chcesz uczynić ją nieszczęśliwą?...

—Obcy ludzie byli czułymi dla niej a własny ojciec nie lituje się nad nią. Panie Franku, jestem tylko jej nianką, ale poświęciłabym jej wszystko w świecie. Matka dla niej tylko żyje, cierpi z nią razem, uśmiecha się tylko do niej; gdyby ona umarła... nie wiem coby się stało,... nie wiem czy można położyć się i umrzeć według życzenia... Panie Franku, chodź pan ze mną na górę, popatrz na swe dziecko, widok jego sprawi ci ulgę; a potem odejdź z panem Bogiem... odejdź choć na tę jedną noc; jutro zrobisz co zechcesz, zabij nas wszystkich, jeżeli taka chęć twoja, lub pokaż, że jesteś wielkim człowiekiem, któremu pan Bóg na wieki błogosławi. Chodź pan! jestem pewna, że widok śpiącego dziecka cię uspokoi.

Prowadziłe go na wschody i w miarę jak się do dziecinnego pokoju zbliżali, silniej go podpierała.

Istnienie małego Edwina zupełnie wyszło jej z pamięci, dopiero gdy do pokoju wstąpili, z przerażeniem przypomniała sobie, że i on tam spi; najstaranniej więc utrzymywała kącik ten w ciemności, kierując światło na łóżeczko Lisi.

Kołderka śpiącej dziewczynki była na bok odsunięta, przez co ułomność jej odrazu dała się spostrzedz, przez cienką koszulkę. Mała jej twarzyczka pozbawiona światła błyszczących oczek była blada, pociągła, miała we śnie wyraz nader poważny.

Oczy biednego ojca zawisły na niej w głębokiem zamyśleniu, jakby nie mogły nasycić się tym widokiem. Ciężkie krople łez powoli zaczęły z nich spływać.

— Nora gniewała się sama na siebie, że nie ma cierpliwości doczekać się końca tego wpatrywania się. Zdawało jej się, że już więcej niż półgodziny czekała, gdy nareszcie Frank się poruszył; lecz zamiast odejść — rzucił się na kolana obok łóżeczka i ukrył twarz w prześcieradle.

— Alicja niespokojnie się poruszyła.

— Nora odciągnęła go ze strachem; nie mogła mu więcej czasu do modlitwy zostawić, gdyż z każdą chwilą obawiała się powrotu swej pani. Porwała go więc gwałtownie za rękę. Gdy odchodził, oczy jego zatrzymały się na drugiem łóżeczku, stanął na miejscu. Wyraz jego twarzy się zmienił; ręce się skurczyły.

— To jego dziecko? — zapytał.

— Jej dziecko, — odpowiedziała Nora. — Niech je Pan Bóg ma w swej opiece; — dodała mimo woli; gdyż spojrzenie Franka nieokreślone budziło w niej obawy, w których wzywała pomocy opiekuna bezsilnych.

— Mną Pan Bóg się nie opiekował, — rzekł nieszczęśliwy mąż z rozpaczą.

Lecz Nora nie miała teraz czasu do litowania się. Jutro chciała litować się nad nim z całego serca.

Sprowadziła go wreszcie ze schodów i za bramę, którą tak starannie zamknęła, jak gdyby tym sposobem z rzeczywistości wykluczyć potrafiła to, co się stało.

Wstąpiła potem do jadalnego pokoju, aby tam wszystko usunąć co mogłoby zdradzić te odwiedziny. Na końcu powróciła do dziecinnego pokoju i zasiadła tam opierając głowę na ręce i rozmyślając nad

tem jakie będą następstwa tego smutnego zdarzenia.

Zdawało jej się, że państwo długo nie wracają.

Jedenasta wybiła, gdy usłyszała na schodach głośne, grube lankaschirskie głosy i teraz dopiero rozpacz biednego człowieka, który tak niedawno ztąd wyszedł przeraziła ją swym kontrastem.

O mało nie straciła cierpliwości, gdy pani Openshaw tak spokojna, uśmiechająca się, tak pięknie wystrojona, tak szczęśliwa weszła do pokoju aby zapytać o dzieci.

— Czy Lisia spokojnie kładła się spać?

— Tak jest.

Matka schyliła się nad dzieckiem obejmując je spojrzeniem pełnem czułości. Jakżeż daleką była od tego, aby się domyśleć, kto przed nią na nie tak patrzał.

Zwróciła się potem do Edwina z miejszą może troskliwością i czułością, ale z tem większą dumą.

Pochowała swoje rzeczy i zeszła na dół na kolację. Nora nie zobaczyła jej już tej nocy.

Oprócz wejścia do sieni, znajdowały się w dziecinnym pokoju drzwi do sypialni państwa Openshaw, którym na tem zależało aby dzieci zawsze mieć blisko siebie.

Nazajutrz o świcie zbudziło panią Openshaw, przeraźliwe wołanie Alicji:

— Mamo! mamo!

Zerwała się więc, zarzuciła na prędce szlafroczek i przystąpiła do dziecka.

Zastała Lisię na wpół śpiącą lecz nadzwyczaj przerażoną.

— Kto tu był mamo? powiedz mi.

— Kto moje kochanie? Nie ma tu nikogo. Sniło ci się coś moje dziecko, przebudź się, patrz, już dzień biały.

— Prawda — rzekła Alicja, oglądając się na około. Potem przytuliła się do matki dodając:

— Lecz w nocy był tu jakiś człowiek.

— Bredzisz koteczko, nikt się do ciebie nie zbliżał.

— Owszem, ktoś tu stał obok Nory; jakiś człowiek z czarną brodą i ukląkł i pacierze zmawiał.

Pani Openshaw zaprzeczająco potrząsała głową.

— Ależ mamo! Nora wie o tem, że on tu był — twierdziła Alicja zniecierpliwiona.

— A więc dobrze, zapytamy Nory gdy przyjdzie — rzekła pani Openshaw uspokajająco — ale teraz już ani słówka o tem; nie ma nawet piątej godziny, powinnaś jeszcze spać. Czy przynieść książkę i czytać ci trochę!

— Nie odchodź odemnie mamo — prosiło dziecko przysuwając się bliżej do matki. Siedziała więc pani Openshaw przy łóżeczku i opowiadała Lisi o wycieczce do Richmond, aż nareszcie powieki dziecka zamknęły się i na nowo słodko zasnęło.

— O cóż chodziło? — zapytał pan Openshaw, gdy żona jego powróciła do sypialni.

— Lisia zbudziła się z wyobrażeniem o jakimś człowieku, którego widziała w pokoju zmawiającego pacierze. Musiało jej się coś przyśnić.

Na tem skończyła się rozmowa. I gdy o siódmej godzinie pani Openshaw wstawała, całkiem już była zapomniała o tem zdarzeniu. W tem doszła jej uszu sprzeczka powstała w dziecinnym pokoju. Nora tonem wielkiego rozdrażnienia odzywała się do Lisi; była to rzecz niesłychana. Państwo Openshaw słuchali z zadziwieniem.

— Milcz Lisiu! Nie chcę słuchać twoich snów. Strzeż, się żebyś tego nigdy więcej nie powtórzyła.

Dziewczynka rozpłakała się.

— Pan Openshaw otworzył drzwi zanim jego żona słówko wypowiedzieć zdołała.

— Noro chodź tu!

Niańka z wielkim niepokojem stanęła we drzwiach; domyślała się, że jej rozmowa z Lisią była podsłuchaną; rozpacz ją ogarnęła.

— Nie odważ się raz jeszcze takim tonem mówić do Lisi; — rzekł pan Openshaw srogo; i zamknął drzwi.

Nora odetchnęła, obawiała się ostrego śledztwa i chętnie przyjęła w jego miejscu naganę.

Gdy się cała rodzina udawała na dół na śniadanie, pan Openshaw prowadził Lisię, matka małego Edwina, który pomału schodził ze schodów wysuwając zawsze prawą nogę naprzód. Posadzili dzieci w ich krzesełkach koło stołu; sami zaś stanęli przy oknie oczekując wejścia swych gości i układając plany na cały dzień.

Podczas chwilowego milczenia pan Openshaw odrazu zwrócił się do Lisi mówiąc.

— Ktoś był dziś gąseczką ze swemi snami i zbudził biedną zmęczoną matkę w połowie nocy, dla jakiejś historji o mężczyźnie co po pokoju chodził.

— Ojcze, z pewnością go widziałam — rzekła Lisia na wpół płacząc. Nie chcę Norę pogniewać; ale nie spałam, choć ona twierdzi, że spałam; zbudziłam się całkiem i bardzo byłam przestraszona. Nie śmiałam dobrze oczu otworzyć, lecz doskonale widziałam tego człowieka; był wysoki, smagły, miał czarną brodę; modlił się; potem spojrzał na Edwina; potem wzięła go Nora za rękę i wyprowadziła szepcząc z nim.

— Bądź-no rozsądną, moja mała kobietko — rzekł pan Openshaw, który nigdy nie tracił cierpliwości z Alicją. Nie było w nocy w całym domu żadnego obcego człowieka. Nikt tu w nocy nie przychodzi, a tem mniej wchodzi do waszego pokoju. Lecz czasami taki mamy sen, że nam się coś jako rzeczywistość przedstawia; ty nie jesteś pierwszą, moja kochanko, której się wydaje, że rzeczywiście widziała to, co jej się przyśniło.

— Ale to z pewnością nie był sen — powtarzała Lisia i na nowo się rozpłakała.

(Dokończenie nastąpi.)

POGRZEBY.

SZKIC ETNOGRAFICZNY.

PODŁUG GRUBEGO.

I.

Zwyczaj grzebania umarłych jest tak stary, jak starą jest lubzkość, która oddawała ziemi to, co z ziemi powstało. Niektóre ludy w starożytności balsamowały ciało nieboszczyków i składały je w grobowcach murowanych; Egipcjanie, Babilończycy i Persowie budowali formalne miasta umarłych i kolosalne pomniki, które się zębowi czasu oparły i do naszych przetrwały czasów.

Grecy, Słowianie i niektóre szczepy germańskie paliły ciała umarłych, przechowywując popioły. Podług Pliniusa, weszło palenie ciał u Rzymian w zwyczaj w czasie długoletnich wojen z obawy, aby nieprzyjaciele nie odgrzebywali i nie znieważali ciał poległych.

Stara Corneliusów rodzina, grzebała dłuższy czas ciała swych zmarłych członków, aż Sulla, obawiając się po śmierci zniewagi, nakazał spalić swe ciało. W dziejach żydowskich mamy jedyny i prawie wyjątkowy wypadek spalenia ciała Saula, który w ostatniej wojnie z Filistynami, sam sobie śmierć zadał.

„Wstali wszyscy mężowie co mniejszy i szli całą noc i wzięli ciało Saulowe i ciała synów jego z muru Betsan i przyszli do Jabes Galaad, i spalili je tam. I wzięli kości ich i pogrzebali w gaju Jabes i pościli siedm dni“ (R XXX. w 12. i 13ty) księgi królewskie.

Zresztą grzebano.

Pozostawienie trupa niepogrzebanego uważały wszyskie narody za największy wstyd i obrazę, wyrządzoną osobie zmarłego i jego rodzinie. Grecy mniemali, że dusza zmarłego tak długo błąkała się około ciała, nie mogąc przejść na pola elizejskie, dopóki na ciało przynajmniej garści ziemi nie rzucono.

Jeżeli Rzymianin znalazł przypadkowo niepogrzebanego trupa, grzebał go obrazowo, rzucając nań trzykrotnie mokrą ziemią i tylko piorunem rażonego nie wolno było pogrzebać, gdyż go sam Jowisz wybrał sobie na ofiarę.

U Kafrów wyprawiają rażonemu piorunem wspaniały pogrzeb, innych zaś zmarłych, dają na pożarcie dzikim zwierzętom.

Rodzaj pogrzebu zawisł zresztą od okolicy. Wiele indyjskich pokoleń pali ciała swych zmarłych, inne zaś nie mające wiele drzewa, grzebią ciała, albo składają w skał rozpadliny, przywalając otwór kamieniem przed drapieżnemi zwierzętami, albo wieszają ciała nieboszczyków na drzewach aby się zasuszyły, i odbywają od od czasu do czasu sute libacje.

Przed kilku laty następujący wydarzył się wypadek. Jakaś chora kobiecina z takiego indyjskiego pokolenia zmarła w pochodzie. Po śmierci powieszono jej trupa na drzewie z małem u piersi dziecięciem, gdyż chciano ją i na tamtym świecie obdarzyć dzieckiem.

Jak Kafrowie uważają hyeny za święte zwierzęta pożerające nieboszczyków ciała, tak też i Tunguzi czczą wrony, oddając im trupy w wyłączne posiadanie.

Składają je na wzgórzach w piękne ubrane szaty i chronią płotami od innych czworonogów, aby je tylko same wrony rozszarpały.

Część Tunguzów do chrześcjaństwa nawrócona, w różnorodnych stosunkach z Rossjanami żyjąca, grzebie nieboszczyków, część zaś w grubem pogrążona bałwochwalstwie i szamaizmowi oddana, zamyka ciała odziane w wytworne suknie i wiesza je na drzewach. Jeżeli zaś przypadkowo kogo pogrzebią, natenczas wieszają najlepsze suknie nieboszczyka na drzewo, wystawiając je na wpływ powietrza. Nikt z żyjących nie odważy się ich wziąć, a tem mniej ich używać. Mongołowie i Tybetanie, wynoszą ciała swych zmarłych na wzgórza, albo układają w skał rozpadliny i dają sępom i dzikim zwierzętom na pożarcie.

W Tybecie żyje nader wzgardzona ale przy tem wszystkiem zamożna kasta ludzi „Radscha-Tongden“ zwana, zajmująca się exportacją nieboszczyków; z ciałami uboższych obchodzą się nielitościwie, wydając je psom na pożarcie. Czasami włóczą się ci ludziska pomiędzy żyjącymi, wyciskają ostatni grosz z kieszeni, a jeżeli im kto odmówi jałmużny, natenczas odzywają się z pogróżkami mówiąc: „Poczekajcie, damy się wam we znaki. Skoro tylko umrzecie, chwycimy was powrozem za szyję, będziemy waszego trupa po wszystkich wlekli ulicach, a w ostatku pożrą was psy nasze.“

Z ciałami bogatszych obchodzą się nieco staranniej, gdyż niosą je w lektyce na szczyt góry, krają ciało w kawałki, a kości i czaszkę tłuką w moździerzu. Następnie rozpalają ogień aby znęcić sępy, które dymem zwiabione przylatują. Potem wznoszą pomnik, stosownie do godności nieboszczyka, wyższy lub niższy.

W zupełnie podobny sposób, postępują Mongołowie ze swoimi nieboszczykami. Europejczyk niemiłego doznaje wrażenia przechodząc mimo miejsca, gdzie sępy i wilki o ludzkie gryzą się kości.. Bogatsi Mongołowie palą ciała swych zmarłych w sposób nader uroczysty. Budują z murawy piec piramidalny, i nim zamkną otwór u góry, wkładają do wnętrza trupa, piec zaś palnymi otaczają materjałami. Podczas kiedy się trup pali, chodzą lamowie w około, modląc się i śpiewając. Po skończonej modlitwie otwierają piec, oddają popioły przełożonemu lamów, który tłucze kości na proch, miesza go z równą częścią pszennej mąki, piecze własnoręcznie placuszki i buduje z nich piramidę a następnie wznoszą pomnik w miejscu przez czarodziejów oznaczonem.

Takich piramid można wiele widzieć w pobliżu klasztorów, gdyż w ten sposób odbywają się pogrzeby lamów.

Najsławniejsze miejsce pogrzebowe u Mongołów jest w prowincji Schan-si, przy lamajskim klasztorze pięciu wież, U-Tay.

Zemia tego miejsca jest tak święta, że kto ze śmiertelników dostąpił tego zaszczytu, że złożył w niej swe kości na wieczny spoczynek, ten niechaj będzie pewny najlepszej dusznej wędrówki, jaka mu się dostanie w dziale. Miejsce to uświęciła obecność Buddhy, już od wieków tu przebywającego, a jeden ze znakomitszych Mongołów nazwiskiem Tokara, miał go na własne widzieć oczy, patrząc przez malutki otwór do wnętrza klasztoru.

„Potrzeba — mówił europejskim turystom, długo patrzeć, nim się coś zobaczy. Po niejakimś czasie przywyka oko do ciemności i w końcu dostępuje się szczęścia oglądania Buddhy. Siedzi on spokojnie z podkurczonemi nogami, w gronie lamów, którzy mu się ustawicznie kłaniają.

Jak Kafrowie w przylądkowym kraju mieszkający, zetknąwszy się z Anglikami, przyjęli od nich zwyczaj grzebania ciał zmarzłych, tak też południowi Mongołowie, mieszkający w pobliżu chińskiego muru, lub zostający z Chińczykami w bliższych stosunkach, używają przy pogrzebach trumien. Osobnych miejsc na cmentarze przeznaczonych, nie mają.

Fr. Ksaw. Mroczko.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Słomiana plecionka. Opowiadanie Stanisława Myszkowskiego. Jarosław 1880 str. 97. Kilka słów o wydawnictwie ludowem H. Bohussa w Jarosławiu.

Do nader pocieszających objawów ruchu umysłowego, należy okoliczność, że prowincja zaczyna współzawodniczyć ze stolicami kraju naszego, na polu wydawnictw księgarskich. Nie tylko, że kilka miast prowincjonalnych zdobyło się na własne organa dziennikarskie, ale nadto nakłady dzieł samoistnych zaczynają się mnożyć. W Tarnowie, Rzeszowie, Jarosławiu, Przemyślu, Jaśle, Samborze, Brodach, pojawiają się prace mniejsze i większe — mniej lub więcej udatne, które w każdym razie świadczą, że na prowincji nie zalegają pola literackiego pracownicy myśli i chcieliby do ogólnej skarbnicy naszego narodowego piśmiennictwa dorzucić także swój grosz wdowi.

Ruch ten zwiększyłby się jeszcze, zyskał na wybitności; przymnożyłby może dzieł rzetelnej literackiej wartości, gdyby świat naukowy i dziennikarski w stolicach kraju, nie patrzył — jak dotąd — przez ramię na tego kopciuszka literackiego; gdyby się pozbył uprzedzenia — zupełnie niesłusznego — że wszystko, co opuści prasy drukarskie po za murami stolicy, musi nosić na sobie cechy prowincjonalizmu, niedołęztwa, filisterstwa, w ogóle niedokrewkości literackiej; gdyby na prace, wydane na prowincji, większą w pismach stołecznych zwracano uwagę i sądzono je: *sine ira et studio.*

Za lekceważeniem i obojętnością prasy stołecznej dla wydawnictw prowincjonalnych, idzie lekceważenie i obojętność u czytającej publiczności, a wskutek tego, każda książka, która wychodzi na prowincji, z góry może być pewną uśmiechu politowania.

Przyznać trzeba, że stosunek taki zaczyna się powoli zmieniać na lepszy; zawsze jednak prasa perjodyczna stolicy, za mało zwraca uwagi na płody literackie prowincji, choć między niemi są rzeczy prawdziwej wartości. Uważamy za obywatelską powinność zrobić jeden krok naprzód w tej sprawie, i przedsięwzięliśmy sobie, obznajamiać czytelników naszych z dziełami, które na prowincji oglądają światło dzienne. Początek robimy dziś, mówiąc o wydawnictwie jarosławskiem.

Od roku 1877 wydaje księgarnia H. Bohussa w Jarosławiu pod ogólnym tytułem: „Bajki i powiastki ludowe“ — dziełka przeznaczone dla ludu; w dość udatnej formie, drukiem wyraźnym i po cenach nader przystępnych, gdyż cena jednego tomiku nie przechodzi 16 ct. w. a.

W wydawnictwie tem wyszły dotychczas następujące opowiadania: Myszkowskiego „Pozłacany kozik“ — „Wdzięczność dwóch sierot“ — „O strachach“ — „Maciej“ — „Słomiana plecionka“ oraz X. A. W (atulewicza) „Wojtuś i Zosia“ wierszem. Wszystkie te opowiadania, prócz ostatniego, wzięły sobie za cel obznajamianie ludu z drobnym przemysłem domowym i zachęcanie do niego. Wykazują one, jak małemi środkami przyjść można do dobrobytu, jak z każdej drobnostki, którą kraj nasz posiada, można przy dobrych chęciach wydobyć źródło dochodu dla siebie i drugich. Gdyby wydawnictwo, o którem mówimy, żadnych zresztą nie posiadało przymiotów, prócz wykazanego powyżej celu, jużby je można uważać za cenny nabytek dla naszej literatury ludowej; o ileż więcej, gdy odznacza się ono wieloma dobremi stronami. Do najważniejszych zaliczyć trzeba przystępność wykładu i przystępność ceny; a są to nader doniosłe warunki powodzenia dla tego rodzaju wydawnictwa. Najczynniejszym w niem autorem jest p. Stanisław Myszkowski, nauczyciel ludowy, który dał w niem kilka powiastek pod wyliczonemi powyżej tytułami. Z uwagą odczytaliśmy wszystkie i wynieśli przekonanie, że autor może z wielką korzyścią działać na polu ludowego piśmiennictwa, bo zna lud, dla którego, i przedmioty, o których pisze. Umie rzecz przedstawić zajmująco; zaciekawić czytającego, a tendencja i sens moralny jego powieści, jakkolwiek dobitny, nie rzuca się jaskrawo w oczy umie je autor ukryć w akcji powiastki. Są to zalety, których nie posiada dziełko p. Szczepańskiego „Pogadanki o powszednim chlebie“, a które każą nam oczekiwać większych korzyści po opowiadaniach p. Myszkowskiego, jak po dziełku p. Szczepańskiego.

Wymieniwszy zalety, nie wahamy się wskazać wad—pewni, że o złą wolę posądzonymi nie będziemy i autor przeczytawszy kiedyś, jeszcze raz, swoje dziełka uważnie, przyzna słuszność uwagom naszym. P. Myszkowski słabo włada językiem ojczystym, znajdujemy w jego opowiadaniach bardzo rażące błędy językowe, tak pod względem gramatycznym jak stylistycznym, a nadto takie mnóstwo prowincjonalizmów, obok silenia się na oddanie potocznej mowy ludowej; że te błędy znacznie obniżają wartość literacką jego powiastek.

P. Myszkowski powinien przestudjować najcelniejszych naszych ludowych pisarzy; przypatrzyć się dokładnie sposobowi pisania takich autorów jak Gregorowicz, Anczyc, Wielogłowski, Łoziński, Grajnert, a nie wątpimy, że język jego zyska na barwności, dosaduości, a zwłaszcza stanie się poprawnym.

Zbyteczne używanie idjomu ludowego, nie wydaje nam się także odpowiedniem. Piszmy po polsku czysto, bez używania obcych słów i zwrotów; bez napuszystości i powikłanych frazesów, a lud zrozumie nas wybornie; nie będziemy potrzebowali zniżać się do używania potwornych nieraz wyrażeń ludowych, które już dziś każdemu trochę więcej oczytanemu dziecku ludu, wydają się niestosownemi. Te wady rażą przedewszystkiem w początkowych opowiadaniach p. Myszkowskiego, np. w „Pozłacanym koziku“, w „Macieju“; mniej ich napotkaliśmy w „Słomianej plecionce“, którą też najwyżej ze wszystkich stawiamy. W „Pozłacanym koziku“ razi nawet wątek powieści, mocno „Henrysia z Eichenfelsu“ przypominający. Po co nam — szanowny autorze — karmić lud opowiadaniem zbrodni i cudowności; raczej go chronić powinniśmy od wszelkiej wybujałości, bo sam w sobie

ma dość zabobonów i skłonności do wiary w nadzwyczajne wydarzenia opatrznościowe. Można było dowieść takiego samego założenia, a nie łączyć pozłacanego kozika z opowiadaniem o nieludzkim dziedzicu, o więzieniach, węglarzach etc. — bo to wszystko tylko szkodliwie oddziałać może na wyobraźnię ludu. Czemuż „Maciej" mógł się obyć bez tego tła cudotworczego, jakie góruje w „Pozłacanym koziku"? Czemuż on stoi wyżej co do wartości od tego ostatniego? Bo jest na wskróś swojski, naturalny, dobroduszny, iście ludowy.

Powiedzieliśmy, że z wszystkich powieści p. Myszkowskiego najwyżej stoi „Słomiana plecionka", której wątek zręcznie obmyślany, zaciekawiająco przeprowadzony, a język znacznie lepszy od języka poprzednich opowiadań. Postęp tu znać wielki i całą powieść czyta się z przyjemnością. Już w niej i prowincjonalizmów mniej i styl gładszy; a choć i ona chroma gdzieniegdzie — na gramatykę — zapisujemy ją jako cenny nabytek literatury ludowej i bogdajby następna powiastka była o tyle lepsza od „Słomianej plecionki", o ile ona jest lepszą od „Pozłacanego kozika". Wszystkim ludziom dobrej woli polecamy gorąco wydawnictwo ludowe p. Bohussa i powiastki p. Myszkowskiego — i byłoby rzeczą nie do przebaczenia, gdyby wydawnictwo tak zdrowe, zacne, a jak barszcz tanie (darujcie wyrażenie), upadło z braku poparcia. Za 5 reńskich można obdzielić powiastkami temi wszystkie dzieci kilku wsi... zatem nie skąpcie tego wdowiego grosza. Panowie szlachta — wielebni proboszcze i wy świetne rady szkolne... Uczyć lud pracy, wpajać w niego poczucie człowieczeństwa i obywatelskich obowiązków, to najpiękniejszy posiew przyszłości...

W. J. Wdowiszewski.

Kronika Tygodniowa.

Nie wesoły mieliśmy tydzień ubiegły. Najprzód szkarlatyna panująca dotąd w pewnych dzielnicach przybrała dość zatrważający charakter, skoro władze szkolne uznały właściwem zamknąć na kilka tygodni wszystkie ludowe i wydziałowe szkoły we Lwowie, a nawet i gimnazja aż do dnia 20. listopada uległy temu samemu losowi. Dla pobierających nauki w tych zakładach jestto cios niemały, zwłaszcza że te miesiące w roku są dla wykładów najważniejsze, albowiem przebrnąwszy początkowe trudności, jak zwykle bywa przy rozpoczynających się kursach — tok nauk wchodzi już na normalną drogę. Życzyćby więc należało, aby ta przerwa była jak najkrótszą i żeby młodzież przez ten czas przypadkowych wakacji starała się pracować w domu i nie tracić czasu na marne. — Jesteśmy zdania, że nie powinien być dozwolonym wyjazd uczniom ze Lwowa, raz dlatego, żeby się nie odrywali od nauki, a powtóre żeby epidemja jeżeli w istocie jest tak groźną, nie roznosiła się po całym kraju.

Gdy biednym dzieciom naszym zagraża płonica, los psotnik nie zapomniał i o starszych, zsyłając na nich tyfus gnieżdżący się podług sprawozdań lekarskich najbardziej w Ruskiej ulicy, a specjalnie w budynkach Stauropigiańskiego instytutu, w którym właśnie odbywają się nieustanne narady komitetu urządzającego stuletni obchód rocznicy wstąpienia na tron cesarza Józefa II. Dlatego podziwiać tylko musimy odwagę tych panów komitetowych, że skóra na nich nie cierpnie, gdy przyjdzie im przestępywać progi zarażonego domu. I gdybym ja był na miejscu żon tych panów, dalibóg nie pozwoliłbym uczęszczać szanownym mężom na takie posiedzenia przynajmniej do dnia 1. grudnia, jako terminu, w którym podług przepisów hygieny, wszelka złość ludzka, a szczególniej chętka robienia komuś na przekór, sama z siebie bez wszelkiej dezinfekcji ustanie. Wierzcie mi, szanowne panie, każda irytacja nie wyjmując nawet politycznej, ogromnie usposabia do przyjmowania zaraźliwego jadu, czego dotykalnym dowodem był przed nie wielu laty tak zwany tyfus schyzmatycki panujący w chełmskiem.

Tak tedy podług zapowiedzi *Słowa* odbędzie się uroczystość Józefińska koniecznie w dniu 29. listopada w Narodnim Domu, po odbytem nabożeństwie w kościele św. Jura. Będzie odczyt, będzie produkcja muzykalna, a w dniu 30. listopada wielki mityng ruski także w Narodnim Domu. Na uroczystości powyższe postanowiono zaprosić reprezentantów władz rządowych i autonomicznych, tudzież różne korporacje miejskie, nie zapomniano więc o nikim, a kto dożyje, zobaczy jak to się wszystko uda.

Co do drugiej uroczystości także 29. listopada, to komitet krząta się jak może. Druk książki pamiątkowej już rozpoczęty, medal jest na ukończeniu, a komitety prowincjonalne wszędzie dają oznaki szczerego zajęcia się, tak samą uroczystością, jakoteż zaopatrzeniem na resztę lat życia tych nielicznych już weteranów 1831 roku, którzy zostają na starość w bardzo smutnem położeniu. Opozycja pewnych koterji naszego społeczeństwa, która niewiadomo z jakich pobudek uważała ten obchód pamiątkowy za szkodliwy dla naszej przyszłości — jakoś ucichła, bo oto w samym Krakowie zawiązano komitet pod przewodnictwem czcigodnego p. Horocha, do którego weszli prezes akademji umiejętności p. Majer, hr. Stanisław Małachowski i inni. Nawet hr. Henryk Wodzicki, także uczestnik z roku 1831 musiał przyznać, że niewłaściwem byłoby paraliżowanie koleżańskiego obchodu, mającego znaczenie wspomnienia epoki tyle drogiej, a zarazem tyle bolesnej dla duszy Polaka, i przyjął udział w obchodzie.

Wobec tego wszystkiego, jakże szczytną i godną najwyższego podziwienia pokazać się musi katonowska odwaga pewnego pana U.... z okolic Nowego Targu, który będąc zaproszony do współudziału w uroczystości, odpowiedział: że nietylko nie przyjmuje zaproszenia, ale uważając, że inicjatywa w sprawie narodowej, gdzie nietylko chodzi o uczczenie świetnego wspomnienia *z naszej historji*, lecz i o rozważenie stosowności takiej demonstracji politycznej, należy do legalnej reprezentacji naszego kraju — użyje swego wpływu w tamtejszej okolicy do powstrzymania współobywateli od prowadzenia polityki na swoją rękę.

Boże miłosierny, cóż ten pan U. nie poodkrywał zdrożności i zbrodni i przestępstw, w tem niewinnem wezwaniu nielegalnej reprezentacji, które mu się tylko przez prostą pomyłkę dostało! Cóż to za ofiara z jego strony, to użycie bezpłatne wpływu swego w tamtejszej okolicy? Jakaż to głęboka myśl w tem wyrażeniu »*polityka na swoją rękę!*« Winszujemy okolicy nowotargskiej posiadania takiego żelazno-politycznego egzemplarza, wykarmionego na samej legalności... A przyślijcież go tutaj, szanowni wyborcy, do nas do Lwowa, jeżeli nie na posła do sejmu, to przynajmniej na model... Strachajły do „Szczutka".

P. S. Zapytujemy dodatkowo, szanownego pana U., aby nam raczył objaśnić, co to on nazywa *naszą historją?* Mamy bowiem pewną wątpliwość, że obywatele z okolic Nowego Targu, co do których ma zamiar użyć swego zbawczego wpływu, inaczej od niego tę *naszą historję* pojmują. W takich wypadkach najdogodniej grać z odkrytym dziadkiem..

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Berg N. W.* Pamiętniki o polskich spiskach i powstaniach 1831—1862. Z wydania „Ruskiego archiwum" przełożył z rosyjskiego W. Ralex. 8-ka str. 457. Kraków 1880. 2 złr.

— Bobrzyński Michał. Dzieje Polski w zarysie. Drugie znacznie zwiększone wydanie. Tom I. 8-ka str. 324. Warszawa 1880. Z policzeniem za tom II-gi 5 złr.

— *Chromecki Tadeusz X.* Krótki rys dziejów zgromadzenia szkół pobożnych czyli OO. Pijarów. 8-ka str. 144. Kraków 1880. 80 ct.

— *Falkowski Juljusz.* Koniec Stuartów. Dramat historyczny w 5 aktach a 7 odsłonach. 8-ka str. 104. Kraków 1880. 1 złr. 25 ct.

— *Fredro Aleks. hr.* Dzieła z portretem autora. 13 tomów. 8-ka str. 283, 274, 330, 374, 323, 259, 317, 246, 236, 290, 260, 244, 247. Warszawa 1880. 32 złr. 50 ct.

— *Jezierski Michał.* Ofiary zasad. Dramat w 5 aktach. 8ka str. 117. Kraków 1880. 1 złr.

— *Jokai M.* Nowy dziedzic. Powieść. Przekład A. Callier. 2 tomy. 8-ka str. 153, 176. Lwów 1881. 2 złr. 80 ct.

— *Kisielewski Wł. Tad.* Książęta Czartoryscy i ich reforma na sejmie 1764 roku. 8-ka str. 302 i III. Sambor 1880. 3 złr.

— *Kosiba Antoni prof. dr.* O afektach, ich stosunku do uczuć i namiętności, oraz ich wpływie na organizm człowieka. 8 ka str. 77. Jasło 1880. 75 ct.

— *Kraszewski J. I.* Kraków za Łoktka. Powieść historyczna (XII-ta z cyklu historycznych powieści). 2 tomy. 8-ka str. 214, 210. Kraków 1880. złr. 3.

— *Lam Jan.* Dziwne karjery. Powieść. 2 ty. 8-ka str. 204. 219. Lwów 1881. 3 złr.

— *Leliwa Piotr Ludwik.* Mieczem i krzyżem. 8-ka str. 335. Kraków 1880. 2 złr.

— *Leniek Jan.* Uniwersytet Kazimierzowski na tle stosunków uniwersyteckich w średnich wiekach. 8-ka str. 17. Kraków 4880. 30 ct.

— *Literatura poznańska* w pierwszej połowie bieżącego stulecia. 8-ka str. 195. Poznań 1880. 2 złr. 40 ct.

— *Piotrowski Corvin J. K.* Gambetta. Studjum z dziejów współczesnych Francji według dokumentów urzędowych, najnowszych publikacji i luźnych notatek. 8-ka str. 418. Kraków 1880. 1 złr. 50 ct.

— *Spirydion*. Kodeks światowy czyli znajomość życia we wszelkich stosunkach z ludźmi. Na podstawie dzieł pani d'Alg ułożonej. 8-ka str. 168. Warszawa 1881. 80 ct.

— *Sulima A*. Polityka polska a skarga Rusinów. 8-ka str. 60. Lwów 1880. 54 ct.

— *Wilczyński Albert*. (Autor kłopotów starego komendanta). Sielanki szlacheckie 8-ka str. 317. Lwów 1881. 2 złr. 80 ct.

— *Zamorski Bronisław*. W pięćdziesiątą rocznicę powstania r. 1830. Studjum dziejowe. Tom I. Pogląd ogólny na działalność narodu po rozbiorze Polski. Piętnaście lat bytu królestwa kongresowego. Tom II.. Powstanie 1830 - 1831. 2 tomy 8-ka str. 235. 251. Lwów 1881. 3 złr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Nakładem Księgarni J. K. Żupańskiego w Poznaniu, wyszło dzieło p. t. „Lteratura Poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia", o którem pomówimy wkrótce obszerniej.

*** W Genewie, w Drukarni Polskiej, wyszło w przekładzie z angielskiego, dzieło p. t.: „Zasady nauki społecznej, czyli religja fizyczna i przyrodzona, rozprawa o prawdziwej przyczynie trzech głównych społecznych klęsk: Ubóstwa, nierządu i celebatu i o środku zaradczym na nie", przez doktora medycyny napisane.

*** Opowiadanie „Od szkolnej ławy" przez Kajetana Kraszewskiego, ukazało się świeżo w oddzielnej książce.

Jestto odbitka z „Bibljoteki warszawskiej."

*** P. Ossowski w Toruniu, wydał mapę geologiczną Wołynia.

*** Pan L. Starschedel, nauczyciel języka francuskiego, wydał w Warszawie rzecz p. t. „Podręcznik dla uczących się języka francuskiego, o użyciu przedimków: *le, la, les, un, une, du, de, la, des* i przyimka *de*".

*** W Warszawie wyszła „Najlepsza metoda języka niemieckiego do nauczenia się czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku, ułożona przez p. Platona v. Reussner (zeszyt I)."

*** Komitet do wydania pamiątkowego dzieł Jana Kochanowskiego przypomina panom współpracownikom, którzy przyjęli na siebie obrobienie pojedyńczych utworów poety, iż termin nadesłania rękopismów, na imię przewodniczącego w komitecie prof. Józefa Przyborowskiego, zamieszkałego w Warszawie przy ulicy Żabiej, pod nr. 4, na dzień 1-szy grudnia 1880 roku przypada.

*** Starannie przez prof. Struvego, a nakładem p. Lewentala prowadzone wydawnictwo „Dzieł" Józefa Kremera, dobiega już ku końcowi.

*** Firma Józefa Ungra ogłasza prospekt na wydawnictwo zbiorowe dzieł Lucjana Siemieńskiego.

Tom pierwszy z wizerunkiem autora puszczony będzie w obieg przed Nowym rokiem — całość wydawnictwa ukończoną będzie w ciągu roku 1881.

W komitecie wydawniczym zasiadają Szujski i Tarnowski.

*** P. Jan Kleczyński trzy odczyty miane niegdyś w Towarzystwie muzycznem o Szopenie wydał w przekładzie francuskim w Paryżu (u Mackara) p. t.: „Frédéric Chopin; de l'interprétation de ses oeuvres, trois conférences faites à Varsovie!...

O broszurce tej czytamy właśnie obszerne sprawozdanie pod rubryką krytyki muzycznej w dzienniku „Temps" z dnia 12. b. m.

Sprawozdawca zaznacza, iż niektórzy wykonawcy przetwarzają Szopena w sposób skandaliczny a wiadomo, że kompozytor nie znosił tej dowolności; p. Kleczyński zwrócił swą pracę w kierunku komentatorskim, celem wyjaśnienia utworów mistrza, oraz wskazania, w jaki sposób wykonywane być winny.

Autor — czytamy dalej w „Temps" — nie znając Szopena, zbierał o nim wiadomości od osób wiarogodnych, tak, iż przywiedzione fakta odznaczają się autentycznością.

Sprawozdawca przytacza dalej szczegóły biograficzne, a potem charakterystykę twórcy mazurków, podaną przez pana Kleczyńskiego.

Po rzucie oka na stronę krytyczną broszurki, w którym sprawozdawca podziela sądy prelegenta o szczegółowych dziełach mistrza, znajdujemy przytoczone całe ustępy z pracy, o jakiej mowa, świadczące, iż słowa, w niej zawarte, nie były rzucone na opokę, lecz w świecie artystycznym nad Sekwaną znalazły uznanie.

Sztuki Piękne.

*** Z długiej wycieczki po ziemiach: kailskiej, kujawskiej i krakowskiej wrócił właśnie p. Napoleon Orda do Warszawy, wzbogaciwszy swą tekę siedmdziesięciu przeszło kartonami.

Niestrudzony wędrownik-artysta zdjął między innemi widok z miejsca urodzenia Długosza — z miejsca zgonu Kadłubka, z zamku Saryuszów, który dał początek Zamojskim, i z wielu innych okolic historycznych.

Za rok podobno szlachetna ta, tyle znoju i cierpliwości kosztująca praca ukończoną zostanie.

*** Bawi obecnie w Warszawie Józef Brandt. Znakomity artysta zatrzymał się tam w przejeździe z Orońska do Monachium, gdzie spędzi zimę.

Brandt, pracowity jak każdy wielki talent, nie zmarnował lata...

Wiezie on z sobą kilka pokończonych już obrazów i sporo szkiców, na które monachijskie *Kunsthändlery* od dawna czychają.

„Jarmark w Bałcie", wspaniałe jego płótno, wprawiające w podziw znawców i prsfanów, będzie zdaje się umieszczone w przyszym salonie paryskim, przedtem wszakże okrąży pewno kilka wystaw.

*** Pan Bolesław Syrewicz, artysta-rzeźbiarz, po dłuższej wycieczce za granicą, powrócił do Warszawy.

*** Słyszeliśmy, iż jedyny nasz sztycharz Henryk Redlich powziął zamiar opuszczenia kraju i zaprzestania pracy na niwie polskiej sztuki...

*** Franciszek Żmurko, znany dobrze publiczności naszej malarz, wysłany został kosztem rządu austryjackiego do Włoch.

*** Na scenie krakowskiej wystawiony być ma wkrótce dramat Sardou „Daniel Rochat" w przekładzie St. M. Rzętkowskiego.

*** Józef Wieniawski dawał dnia 23. z. m. koncert w lipskim »*Gewandhausie*«.

Wykonał sam 14 utworów, pomiędzy innemi własną sonatę, polonez, mazurkę, walca i dwie etudy, tudzież elegję Moniuszki i scherzo Szopena.

Krytyka lipska wyraża się z pochwałami o grze naszego artysty, jakoteż o dziele Moniuszki.

*** *Svetozor* podaje specyfikację naszych ziomków, którzy się odznaczyli za granicą na polu sztuki.

Są w tym opisie malarze, artyści dramatyczni wirtouzi i kompozytorowie.

Specjalna wzmianka dostała się o pani Modrzejewskiej.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Liczba języków, używanych w świecie znanym, wynosi 2523, z których 587 w Europie, 396 w Azji, 376 w Afryce i 1264 w Ameryce.

Mieszkańcy globu wyznają tysiąc rozmaitych religij.

Liczba mężczyzn równa się niemal liczbie kobiet.

Czwarta część dzieci umiera przed dojściem do siedmiu lat; połowa przed siedmnastym rokiem.

Na tysiąc mieszkańców przypada jeden dosięgający 100 lat; na stu — sześciu sześćdziesięcioletnich; na pięćset — jeden 80-letni.

Ziemię zamieszkuje blisko miljard ludzi.

Co rok umiera 333 miljonów ludzi, a zatem na minutę 69, a na sekundę — jeden człowiek.

Urodziny i śmierci prawie że się równoważą.

*** Wojska Europy. Najmniejszą armję stałą w Europie ma Czarnogóra; tuż za nią postępuje armja luksemburska, której siła zbrojna wynosi 513 ludzi.

Serbja liczy żołnierzy 4,222, Rumunja 11,613, Norwegja 12,750 — niewiele co więcej od Grecji, która posiada 12,000 ludzi.

Danja 18,106, Holandja 32,000, Portugalja 35,000, Szwecja tyleż co Belgja 45,000, Hiszpanja 100,000, Turcja 150,000, Włochy 220,000, Austro-Węgry 292,000, Niemcy 448,000. Francja 496.000, Rosja 575,000.

Wszystkie te liczby składają się na olbrzymią sumę 2,467,444 żołnierzy, utrzymywanych w czasie pokoju w Europie.

Koszt tego utrzymania wynosi 1.350 miljonów złr.

Jeżelibyśmy przyjęli, że jeden żołnierz zarobi dziennie tylko 60 centów, to wyżej wspomniane państwa takim sposobem tracą corocznie 1 miljard, 920 miljonów złr.

ROZMAITOŚCI.

U Liszta w Wejmarze.

W stolicy małego niemieckiego księstwa, którego władcy szczególną opieką otaczali ongi mistrzów słowa, bawi obecnie co roku latem mistrz tonów w wybranem kółku przyjaciół, uczniów i wielbicieli swego genjuszu. Ranki poświęca pracy, a popołudniowe godziny gościnnego przyjęciom. Owóż nader są zajmujące te popołudniowe zebrania u Liszta, kiedy grono artystów zjawia się w komplecie, kiedy mistrz wykonywa chętnie najszczytniejsze utwory, kiedy poruszane są z upodobaniem wszelkie nowe zjawiska w królestwie tonów, a odgrzewają stare, niezgorsze wspomnienia.

Jeden z dzienników niemieckich opisuje taką recepcję w następujący sposób:

Spiesznym krokiem zdążają zaproszeni szczęśliwcy do parku dworskiego, w którego środku wznosi się wytworna willa — siedziba mistrza. Mała furtka ogrodowa owtiera się co chwila i co chwila zatrzaska. W kilka minut po czwartej zgromadzenie znajduje się już w komplecie. Bez wielkich ceremonij przedwstępnych rozpoczęła się recepcja odegraniem kwintetu jednego z młodych uczniów mistrza...

Wszyscy ciekawie spoglądają na młodego kompozytora, który usiada do fortepianu.

To Alfons Bendano, Neapolitańczyk.

Grający w kwintecie zajęli swoje miejsca, słuchacze usiedli opodal, a z pośród nich góruje wyniosła postać mistrza — i rozpoczyna się produkcja.

Z jakże skupioną uwagą ducha przysłuchuje się jej mistrz, jakie natężenie myśli maluje się na jego obliczu. Żaden odcień najlżejszy nie umknie przed delikatnem jego uchem. Jakże iskrzy mu się oko przy każdym podnioślejszym zwrocie, przy oryginalnych właściwościach rytmu pięknego andante!... Dzieło zyskało jego uznanie, gdyż inaczej nie kazałby powtórzyć niektórych części, nie zasiadłby do fortepianu, ażeby w kilku miejscach odegrać osobiście partję fortepianową.

Następuje krótka przerwa. Tworzą się w gronie artystów grupy i kółka te rozprawiają i robią

nad utworem Włocha uwagi, tamci otoczyli kompozytora i obsypują go powinszowaniami. Wtem powstaje wysmukła artystyczna postać kobieca, w strojnej czarnej sukni, o bladem eterycznem obliczu, a ruchach i manierach wytwornych, wdowa po ambasadorze, baronowa W., i przywołuje do siebie skinieniem delikatnej rączki młodego człowieka, który dotąd tonął w wesołej rozmowie z piękną żywą Węgierką, panną Ilonką Ravacs. Młody człowiek przerywa rozmowę i spieszy do niej. Jestto młodzieniec średniego wzrostu o jasnych blond włosach, o bladem obliczu, o orlim nosie i cudownie błękitnych oczach. Tak musiał Liszt wyglądać, kiedy był młodym.

— Panie Servais — rzecze baronowa —- zechciej nam zagrać cośkolwiek z nowej swej opery...

Młody Brukselczyk, jeden z tych licznych artystów, którzy przybyli do Wejmaru, aby choć przez krótką chwilę odetchnąć rozkołysaną duchem Liszta atmosferą, aby w niej tworzyć, i szukać wskazówek i rad w mistrzu, skwapliwie czyni zadość uprzejmemu wezwaniu baronowej, siada do fortepianu i gra kilka akordów swego dzieła, a zarazem przy frenetycznych oklaskach otoczenia odśpiewuje sam ustępy wokalne, tak męzkie jak kobiece. Na znak uznania podaje mu mistrz cygaro, a resztę cygar w puzderku stawia na stole dla ogólnego użytku.

— A panie pozwolą? — zapytuje Servais.

—*Mais c'est indispensable dans un menage de garçon!* — odpowiada baronowa: mężczyźni zapalają więc cygara, a wyborny poncz, który lokaj roznosi, ożywia usposobienie ogólne z każdą chwilą.

Tymczasem małe okrągłe krzesełko przed fortepianem już znowu zajęto.

Kapelmistrz Lassen, kompozytor „Fausta“ i brukselskiej „Kantaty“, jegomość o jowialnej fizjognomji i szpakowatych bokobrodach zasiadł do fortepianu i akompaniuje — z cygarem w ustach — znanemu skrzypkowi Auerowi z Petersburga, który wesołą swoją „tarantellą“ zachwyca towarzystwo.

Skończyli... mistrz wstaje, klaszcze lekko w dłonie, a obejrzawszy się po sali, rzecze:

— *Nun »Kleine-Polen«, wollen wir den Walkürenritt hören!* — i mówiąc to, zbliża się ku pięknej, piętnastoletniej Lwowiance, Marji Majewskiej cudownemu dziewczęciu, nietylko pod względem techniki, ale także niezwykłego muzykalnego poczucia, pełnego temperamentu, ognia i rasy. Właściwem polem jej Szopen. Jeżeli ktokolwiek gra kompozycje jej ziomka, mistrz zwykle zwraca się do niej i żartem mówi: »*On chasse sur vos terres*«.

Panna Majewska, bez śladu wzruszenia lub zakłopotania, z spokojną pewnością siebie, zajmuje miejsce przy fortepianie i puszcza wodze swemu talentowi...

Gra „Walkürenritt“ Tausiga według Wagnera z taką werwą, ogniem i siłą, jak gdyby rzeczywiście szalał uragan tej wściekłej jazdy Walkirji.

Mistrz słucha gry uważnie, od czasu do czasu szepcze: *bravissimo* »*fort joli*«, lub zwraca się do obecnych i szeptem rzuca: »*elle joue bien, très bien*« — a gdy skończyła, wstaje, składa dłonie do oklasku i daje tem hasło do ogólnego aplauzu. Wszyscy rzucają się winszować pannie Majewskiej, gdy wtem otwierają się drzwi i wchodzi do salonu panna Wiera Timanow, przybywająca wprost z Wiesbadenu, gdzie z wielkiem powodzeniem dawała koncerty.

Następuje więc przerwa w „muzykowaniu“ : wszystko, co żyje, a mianowicie Roth, Reuss, Giesel i inni, zwracają się ku młodej artystce. Zaczyna się ożywiona i hałaśliwa rozmowa, to w języku niemieckim, to w francuskim, od czasu do czasu odzywa się akord angielski lub włoski. Jedna z dam opowiada o pewnej pianistce z upodobaniem grywającej utwór, w którym powtarza się ustawicznie jedna i ta sama nuta:

— *Imaginez-vous, cher maître, pendant une demiheure elle est là á tapoter toujours la même note, cela vous écorche les oreilles.*

Lekki uśmiech igra na twarzy mistrza:

— *Mais pour ceux, qui aiment cette note, quel charme!*

Inna grupa przy oknie rozmawia po koleżeńsku, to znaczy obmawia wszystkich nieobecnych pianistów i pianistki. *Mais elle est bête, bête comme un chou!* A jak nudnie gra! aż do uśpienia słuchaczy. Nawet techniki nie posiada. Gdy w lewej ręce ma pasaż, prawej nie słychać i *vice versa*, gdy prawa jest w robocie, nie słychać lewej... „Ależ to całkiem według Ewangelji!“ — wtrąca po chwili mistrz — „pamiętaj, aby twa lewica nie wiedziała co czyni prawica!“

Rozmowa przechodzi na pole nowych kompozycyj; nagle wpada komuś dzika myśl zrobienia Gesslera bohaterem opery — wszyscy w śmiech...

— Dlaczegóżby nie? — pyta mistrz — Gessler był przecie filantropem.

Ogólne zdziwienie...

— Tak, tak — ciągnie mistrz dalej — filantropcm, żądał aby się tylko kłaniano jego kapeluszowi, a dzisiaj więcej żądają!

Naturalnie, dowcip ten wieńczą ogólne brawa. Jużto trzeba przyznać Lisztowi, że ma dużo wrodzonego dowcipu, szafuje też nim szczodrze, a najlepiej wtedy, gdy wszyscy mniemają, że nie przysłuchuje się wcale rozmowie.

Po kwartetach Szumana odspiewanych *a capella*, usiadł Liszt do fortepianu i grał jak on tylko grać umie, wspaniałą sonatę *E-moll* Raffa, schlebiając tem gospodyni, będącej kuzynką Raffa. Zaledwie dobiegł mistrz do połowy utworu, kiedy wtem cicho otwierają się drzwi salonu, wielki książę wejmarski wchodzi i żeby nie przeszkadzać, usiada co prędzej na stojącej przy drzwiach kanapie. Liszt grał dalej, a gdy skończył, wstał i zanim przebrzmiały oklaski, oddał księciu i przyjacielowi swemu ceremonjalny ukłon dworski. Poczem, pomimo obecności księcia, poranek odbywał się dalej z całą swą artystyczną swobodą.

Grali ci i owi, a wreszcie Liszt, który nie zaniedbuje żadnej sposobności poparcia młodych talentów, oświadcza, że pragnie usłyszeć parę nowych pieśni Pohliga, jednego z ulubionych swych uczniów. Przyniesiono nuty, a p. Scheidemantel, młody śpiewak z Wejmaru, śpiewa je swoim prawdziwie fenomenalnym głosem, z uczuciem i zapałem.

— Bardzo pięknie! *seulement il ne sait pas encore faire un secret de toutes ses richesses!* — powiada Liszt.

Gdy skończył Scheidemantel, wielki książę rzuciwszy kilka słów pochlebnego uznania, pragnie przejrzeć nuty obecnych pianistów...

— Nuty? Nie ma ich— uczniowie Liszta mają w głowie swe nuty i wszystko, co grają, grają na pamięć, inaczej nie wolno. Ale dosyć na dziś muzyki, bo spóźnimy się do teatru — dodaje mistrz.

Wstaje też wielki książę, żegna się i odchodzi, za nim wkrótce rozchodzi się reszta towarzystwa, aby w komplecie zebrać się znowu na operze.

Nie do uwierzenia istotnie, jak Liszta obsypują rękopismami muzycznemi. W Baden Baden, podczas zjazdu muzyków, nie dano mu spokoju, nie zostawiono mu ani godziny czasu wolnego od prób i koncertów. Już od godziny 7 zrana schodzili się do niego rozmaici muzycy z olbrzymiemi foliantami, a ten i ów pragnął odegrać na prędce mistrzowi swoją czteroaktową operę! Mistrz zamęczony wychodzi na balkon, aby odetchnąć i odpocząć chwilę, ale foliały i rękopisy i tam go ścigają. A jednak rzadko kiedy przedłożono mu coś, coby mogło zyskać jego poklask.

Tak samo jak rękopisy, napływają do mistrza zdaleka i zbliska petycje...

Zabawną anegdotkę w tej mierze Liszt opowiada.

— Niedawno odbieram z poczty sporą paczkę, naturalnie niefrankowaną. Opłacam więc za nią niemałą liczbę marek, i, przewidując, że to są nuty, każę otworzyć. Otwierają — i zdumiony widzę przed sobą zbiór motyli, a między niemi list, w którym nieznana mi osoba uprasza mię, abym pakiecik ten odesłał szwedzkiemu następcy tronu ze stosownem poleceniem, gdyż twórca zbioru pragnąłby otrzymać szwedzki order. Ha! gdybym chociaż znał osobiście szwedzkiego następcę tronu! Ale gdzie tam! nie było jednak co robić... Zapakowałem motyle znowu i zapłaciwszy spore za nie porto, wysłałem na dwór szwedzki.

D- M.

Odpowiedzi Redakcji.

P. P. T. w Krakowie. Pierwsze części „Studjów estetycznych“ Wojciecha Dzieduszyckiego, drukowane były w Tygodniu w latach 1877 i 1878. Obecnie drukujemy część ostatnią, którą ukończymy w bieżącym jeszcze miesiącu, a wtedy całe Studja ukażą się w oddzielnej odbitce.

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 45.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.